Numer zawiera 12 stron

Cena 7 zł.

KUŹNICA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

POLAKOM DLATEGO BRAKUJE NA STAŁOŚCI UMYSŁU W PRZECIWNOŚCIACH, ŻE MAŁO MYŚLELI, MAŁO SIĘ ZASTANAWIALI NAD OBROTEM LOSÓW I CZYNNOŚCI LUDZKICH.

Tadeusz Kościuszko

Rok 2 | Łódź, 11 marca 1946 r. | Nr 9 (27)

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

O młodszym bracie—pamflet

1. KLASOWO PODZIELENI.

Wiemy: szkoła lat międzywojennych była narzędziem klasowej selekcji.

I dzisiaj w dużym uniwersyteckim mieście wśród młodzieży studiującej mamy zespół klasowo prawie jednolity. Mieszczaństwo posiadające, przedstawiciele wolnych zawodów — te grupy posyłały i posyłają swoje dzieci na studia wyższe, dają im pełne wykształcenie średnie, umożliwiające pełnienie niektórych przynajmniej funkcji urzędniczych.

To jest właśnie młodzież inteligencka, pod względem składu społecznego nie bardzo różna od przedwojennej.

Dość jeszcze silna, aby nieliczne jednostki z innych środowisk społecznych szybko zasymilować.

Wśród naszych *młodych* podział klasowy ciągle jeszcze pokrywa się z podziałem na czeladników, parobków i studentów.

Zmiany są dopiero *zapoczątkowane*.

2. SZCZYPTA SOLI W BECZCE WODY.

W okresie okupacji miałem wiele do czynienia z młodzieżą. Byłem nauczycielem w nielegalnej SGGW, w nielegalnym, prywatnym gimnazjum Zgromadzenia Kupców (bardzo mieszczańskim), w nielegalnym gimnazjum na Grochowie, w którym Dyr. Baculewski skupiał wyłącznie robotniczą młodzież ze wschodnich przedmieść Warszawy, wykładałem nielegalnie literaturę w uznanych przez okupanta szkołach zawodowych począwszy od szkoły dla elektrotechników o niesłychanie wyśrubowanym (wbrew obowiązującemu oficjalnie programowi) poziomie, tak, że przyjmować mogła tylko bardzo przygotowaną w domu młodzież, raczej zamożną — a skończywszy na szkołach dokształcających dla terminatorów, szkołach na Powiślu i Czerniakowie, gdzie lekcje odbywały się wieczorem i chłopcy przychodzili usmoleni wprost od warsztatu.

Poza tym pierwszym i potem z upodobania trwałym przydziałem mojej pracy partyjnej było obsługiwanie kół młodzieżowych ZWM. Z tej racji stykałem się na różnych konspiracyjnych dyskusjach również z młodymi socjalistami (także z grupy WRN), z młodzieżą syndykalistyczną, demokratyczną, z harcerzami, z faszyzującą młodzieżą Konfederacji Narodu, od czasu do czasu w terenie i w mieście z młodymi ludowcami różnych odcieni.

Miałem więc szeroki wachlarz doświadczeń, szeroki i społecznie i politycznie.

Inna sprawa, że miałem jednocześnie do czynienia z nieliczną wyselekcjonowaną kadrą. Tylko nieliczni byli w szeregach bojowych organizacji politycznych. Zwłaszcza, jeśli chodzi o aktywistów. A tylko z takimi mogłem stykać się na podpunktach, spotkaniach, odprawach. Jakiś tylko niezmiernie mały odsetek korzystał z dobrodziejstw tajnej — czy nawet półtajnej oświaty. Nikły odsetek ogółu młodzieży na naszych ziemiach. Przecież na ziemiach t.zw. włączonych żadnego praktycznie szkolnictwa nie było. A granica tych ziem zaczynała się tuż za Skierniewicami, tuż za Częstochową.

Ale też młodzież tej kadry budziła najwspanialsze nadzieje. Cechowała ich niezwykła ruchliwość umysłowa, ideowa i moralna dojrzałość, gorączkowa praca nad kulturalnych. A przy tym niespotykane zagęszczenie, masa talentów. Gdy sobie przypominam ich konspiracyjne pseudonimy, czy wprost nazwiska ze znanych mi zespołów klasowych prawie z każdym kojarzy się określona możliwość twórcza: poety, artysty, działacza, dowódcy, pracownika naukowego. Zawsze ludzi nieprzeciętnych.

Najbardziej uderzającą była ich dojrzałość ideowa, wyrazistość oblicza duchowego. I to najczęściej wsparta nie tradycją wychowania — ale jak na ich wiek imponującą sumą przemyśleń, doświadczeń, argumentów, świadczących o niezwykłej moralnej wrażliwości.

Prawicowcy byli to często zacni chłopcy. Czasem odstręczające typy tępych mieszczańskich synków. Ideowo jednak uderzała w nich staroświecczyzna. Atmosfera umysłowa ich pism i dyskusji, podskórne, nie zawsze dość uświadamiane tendencje filozoficzne, lektura — to wszystko oscylowało wokół perypetji intelektualnych z okresu powstania Narodowej Demokracji. Ich cały stosunek do świata był właściwie ustosunkowaniem się do tamtej materialnej, społecznej i kulturalnej rzeczywistości lat 1900. Uderzająco do nich pod tym względem podobni byli młodzi z WRN: Sorel, Brzozowski, — Brzozowski, Sorel „Płomienie" etyczne nieporozumienia Abramowskiego, poza to wyjść nie umieli. Współczesność podrabiał im Henryk de Man faszystowska popłóczyna po Sorelu, Bernsteine i tanim psychologizmie z datą 1938 (po polsku).

Inną była młodzież zdecydowanej Lewicy, większość z nich umiała wskazać konkretny aktualny konflikt życiowy — będący integralną częścią okupacyjnej rzeczywistości, jako początek swojej drogi ideowej. A potem umieli szukać właściwych patronów, budować systematycznie swój światopogląd, nie zrywając nigdy kontaktu z rzeczywistością taką, jaka ich istotnie otaczała. Pamiętam taką grupę bojową dzielnicy Powązki: wyszli z AK — po zbiórce, na której dowódca NSZ-etowiec — powiedział im, że wrogiem Polski Nr 1 — jest Związek Radziecki.

Wykształcenie formalne mieli małe. Żywość myśli ogromną. Szukali uparcie teoretycznego pogłębienia swoich sądów o aktualnej rzeczywistości. Dyskusje z nimi — po moich referatach — zawsze dotyczyły próby wyjaśnienia sobie własnej sytuacji np. w fabryce (pracowali — ucząc się zawodu) przez pogłębienie analizy tylko co uzyskanymi narzędziami historycznego ujmowania zjawisk.

Nie mogę odnaleźć tych rysów w obliczu dzisiejszej młodzieży. A przecież tak niewiele czasu minęło.

Tylko, że wtedy obserwowałem wyłącznie kadrę. Szczupłą kadrę. Dzisiaj ta szczypta soli bez śladu rozpłynęła się w beczce wody.

Wielu z tych młodych przeżyło. Niektórych obserwuję. Rozwijają się. Spełniają nadzieje. Pracują. Wiele dają ogółowi. Ale za mało ich jest, aby narzucili swoje wyjątkowe rysy reszcie. Chyba, że im całe społeczeństwo pomoże. A warto. Nawet trzeba. Bo ogół jest grubo inny.

3. JAK ZAGRAĆ ROLĘ SPOŁECZNĄ.

Ogół jest przede wszystkim potulny. Znów kręcę się wśród tej młodzieży. Po prostu trzeba sobie wynajdywać i wychowywać współpracowników — do pisma, do wydawnictw, do roboty społecznej, do pracy naukowej. Chodzi szczególnie o gatunek niespokojnych, poszukujących, żywych duchowo. Zastraszająco ich brak. Młodzież jest grzeczna — aż strach i litość bierze. Żalił mi się na to z goryczą i jeden z najznakomitszych naszych poetów. „Gdy ja miałem 17 lat, mówił, to jasno wiedziałem, że od czasu Mickiewicza aż do mnie nie było żadnego poety godnego tej nazwy". I słusznie — jakże bowiem bez tej smarkatej pewności siebie — żałosnej ale koniecznej — tworzyć rzeczy nowe, przeczyć autorytetom, otrząsać się z epigonizmu, z wpływu własnego mistrza, nauczyciela.

I tak wygląda nie tylko poetycka praca. Każda praca twórcza. Pamiętam spory własne i ludzi mego pokolenia z przedstawicielami tradycji filologicznej, z naszymi uniwersyteckimi mistrzami. Jak umiał je prowadzić niezapomniany Zygmunt Łempicki — złowrogi — a dla niespokojnych nowinkarzy, dla pożeraczy nowych, najnowszych książek naukowych, wyrozumiały i dobroduszny. Godzinami pozwalał się nudzić jakąś myślą, której jeszcze nie umiało się wyrazić, ale w której on sam, zawsze zorientowany w całości najnowszej problematyki humanistycznej, już umiał dostrzec ziarno trafnej krytyki tradycyjnego błędu. Byliśmy śmieszni. Ale niepokoiliśmy naszych mistrzów — książkami, których oni jeszcze nie czytali, samodzielnie odkrytymi, myślami, których oni jeszcze nie przemyśleli. I to dawało rezultaty. Franek Siedlecki, jeszcze nie skończywszy uniwersytetu, więcej mógł powiedzieć o teorii wiersza, niż cała polska literatura naukowa z tego zakresu do niego. Ale od pierwszego dnia studiów niepokoił się i burzył — jeszcze nic jasno nie wiedząc — dlaczego problematyka polskiej teorii wiersza jest tak pusta, dlaczego ta teoria nie wyjaśnia zadowalająco faktów poetyckich, z którymi co dzień się stykał czytając zawzięcie wiersze.

Dzisiaj widuję i młodych przyszłych naukowców, nauczycieli, przyszłych pisarzy, publicystów, inżynierów. Są grzeczni. Chcą się uczyć. Bardzo chcą się uczyć. Ten zapał podkreślają wszyscy profesorowie. Ale nic poza tym nie chcą. Nie mają żadnych niepokojów. Nie szarpią się z tradycją. Nie mają żadnych własnych upodobań kulturalnych.

Młody pisarz nie boryka się z własną koncepcją artystyczną, wyraźną i inną niż tradycyjna, czy przynajmniej dotąd przeważająca. On po prostu chce być pisarzem, chce w życiu odegrać tę rolę społeczną. Prosi by go nauczyć wszystkiego co społeczny zwyczaj od grającego tę rolę wymaga, całej techniki. A on ją zgodnie ze społeczną konwencją poprawnie odegra.

Chcą grać określone role kulturowe. Myślą, że do tego trzeba dopełnić tylko warunków formalnego, technicznego przygotowania.

Ale diabli wiedzą — o jaką kulturę im chodzi, o jakie treści ideowe?

4. SILNI, ZWARCI, GOTOWI.

Ci nieliczni przodownicy z czasów konspiracji, których teraz spotykam, narzekają. Trudno im się porozumiewać z ogółem młodzieży. Ten ogół słabo myśli, jest ospały umysłowo, niesprawny, ideowe spory nużą go i dziwią. Gra dialektyczna męczy.

Myślę, że jest to przecież nieuchronny rezultat faszystowskiego ideału wychowawczego. Nazywało się to ładnie: przede wszystkim urabiamy charakter, kształtujemy osobowość.

W praktyce było to infantylizowanie szkoły, uszczuplanie jej treści nauczającej. Wiedza, pozytywna nauka, wiadomości, szeroki horyzont myślowy, sprawność rozumowania — to są najwspanialsze narzędzia kulturalne, których od czasów egipskich uprzywilejowani zawsze chcieli przed masami. Każda reakcja społeczna wywoływała wzrost zainteresowań w szkole dla „kształcenia charakteru", a uszczuplanie programu.

Tak było w całej faszystowskiej Europie w latach międzywojennych.

W Niemczech robiono to świadomie — prawdziwy Niemiec miał mało myśleć — za to być wiernym, oddanym, heroicznym.

U nas nawet ci nauczyciele, którzy nie chcieli tego świadomie — służyli faszystowskiej tresurze, bo panował nad nimi automatycznie program, podręcznik, ogólna atmosfera szkoły.

I powoli wychowywał się typ totalnego ignoranta, „silny, zwarty, gotowy". Wierny, oddany, heroiczny. Tylko z samodzielnym myśleniem było gorzej. Nawet u wartościowych zasadniczo ludzi. Wśród dzisiejszych 20—25-letnich ten typ przeważa. Człowiek, którego nie nauczono, że myślenie jest najbardziej ludzką, najcenniejszą wartością.

On ceni sobie charakter. Nie wie biedny, że słowo honor, że słowo wierność nic nie znaczy. Że może znaczyć małość i podłość.

Że to myśl winna rozstrzygać jaki ideał społeczny jest punktem honoru, przedmiotem wierności. Nie ma formalnych wartości. Moralności trzeba bronić historyczną, rozumową racją.

Potrzebne tu jest jedno podkreślenie. Bo czytelnik gotów posądzać autora o naiwność. Myśli bowiem — autor pisze, że młodzież nie wie czego chcieć? To nieprawda, przeczy czytelnik, ta młodzież ma przekonania polityczne! Przecież reaguje od czasu do czasu jakimś okrzykiem, czy podobną manifestacją. Jeśli zaś nie ujawnia tych przekonań dość wyraźnie, to dlatego, że są „opozycyjne". A „opozycji" w Polsce podobno jest trudno. „Opozycyjni", publicyści z różnych „Tygodników Powszechnych" — chociaż nikt im poza biskupią cenzurą pisać nie przeszkadza, chociaż nikt ich do lochu nie wtrąca — uważają się za bohaterów.

Otóż — czytelniku — nie przeczę, że młodzież ta ma niejasne gusta polityczne. Ogranicza się to zwykle do pewnej dyspozycji emocjonalnej. Należy po prostu do wyposażenia patriotycznego naszego narodu. Ale nie kryje się poza tym żadna jasna myśl polityczna. Nawet u opozycji. Procesy NSZ, odsłaniające przede wszystkim jakieś tragiczne **zbłąkanie** tych ludzi, i polityczne i moralne, są poważnym ostrzeżeniem. Za zdegenerowaną „opozycją" bandytyzmu, jak i „opozycją" boczenia się nie ma koncepcji, jest bezradność wobec rzeczywistości, nieznajomość faktów, niezrozumienie procesów dziejowych, niesamodzielność, nieudolność myśli.

A przy tym — i to chcę podkreślić, ja analizuję problem: czy ta młodzież może uczestniczyć twórczo w procesie doskonalenia kultury. A do tego nie starczą upodobania polityczne, nie starczy pseudoideologia polityczna.

Dla twórczego, nowatorskiego uczestnictwa w procesach przeobrażania kultury trzeba posiadać szeroką, rozbudowaną bazę światopoglądową.

Nie wystarczy lubić Anglików, być niesprawiedliwym wobec osiągnięć partii demokratycznych. Bo do takich rzeczy sprowadzają się „przekonania" młodych. Przy tym nielicznych, bo wielu jest właśnie politycznie zadziwiająco lojalnych i dość obojętnie prorządowych.

Nie wystarczy zatem nawet lubić Anglików. Trzeba natomiast, właśnie przez budowanie ogólnego poglądu na świat, umieć określić czego się chce od literatury, od nauki, od gospodarki, od ustroju. Co się chce zmieniać, ulepszać, rozwijać, zwłaszcza w tych trudnych, subtelnych technikach kulturowych, których opanowania uczymy wysoko kwalifikowanych pracowników.

5. JAK POROZUMIEĆ SIĘ Z NIEZNAJĄCYM „TRYLOGII".

Przyszedł do mnie młody uczony historyk. Lubi wykładać. Zaproponowano mu cykl popularnych prelekcji z historii Polski. Nie robił jeszcze tego. Przyszedł się poradzić. Z przerażeniem słuchał informacji o poziomie słuchaczy kursu. Tu trzeba było istotnie nie uniwersyteckiego docenta — ale wytrawnego popularyzatora - społecznika. Toteż wreszcie spytał — czy mogę liczyć, że chociaż znają „Trylogię"? Nie! Jakże więc mam się z nimi porozumieć? Jak można mówić o historii Polski, jak ją wyjaśniać, społecznie interpretować człowiekowi, który nie ma w głowie nawet takiego oparcia jak sienkiewiczowski obraz przeszłości?

Żal mi się zrobiło mego uczonego. Ależ pomyślałem, my wszyscy mutatis mutandis tylko z takimi słuchaczami mamy do czynienia.

Przerażający jest brak przygotowania, braki w oczytaniu, braki w kulturze umysłowej młodzieży dzisiejszej.

Każdemu można śmiało od jego wieku metrykalnego odejmować 6 lat, aby osiągnąć jego wiek kulturowy, społeczny. Istotnie dzisiejszy 23-letni tyle czytał i umie akurat ile 17-letni mego pokolenia. Przez to straciliśmy ciągłość pracy kulturalnej. Ci młodzi czytali tak mało, umieją tak niewiele, że nie mogą kontynuować niepokończonych prac swoich poprzedników sprzed 1939 r.

Nie ma dziś nadziei, by zmarły Fr. Siedlecki znalazł kontynuatora swej pracy nad teorią wiersza. Musiałby bowiem ten następca tak znać europejskie językoznawstwo i jego najnowsze tendencje jak Siedlecki. To musiałby być człowiek, który by jak on węchem mógł czytać i czytał książkę o wierszu w każdym języku tak w serbskim jak w holenderskim. Gdzie takich szukać?

Dziś młody polonista w wieku, gdy Siedlecki już pisał jako nowator całą gębą, dopiero zapoznaje się z elementarną lekturą, gryzie Korbutów i Kallenbachów. I w najlepszym razie jeszcze raz przezwycięży — 30 lat temu przezwyciężony naiwny biografizm Kallenbacha. A tu dla ciągłości pracy trzeba by było borykać się z trudnościami, do których dociera się dopiero po przegryzieniu całej problematyki nowoczesnego językoznawstwa od De Saussure'a do Bühlera i formalnych koncepcyj składni Jespersena.

Jest komu w Polsce uczyć teorii języka — bo mamy Kuryłowicza czy Dłuską — ale nie ma komu słuchać ze zrozumieniem.

Ciągłość pracy kulturalnej, to warunek naszego kulturalnego istnienia.

Nadrobienie zatem tych zaniedbań, przerw okresu wojennego, odcięcia od źródeł kultury i treści kulturalnych — to jedno z najpilniejszych zadań społecznych.

6. CENA I PŁACA.

Nie chcę, aby to co piszę miało wydźwięk pesymistyczny. Nie chcę jednocześnie rozsnuwać tęczowych woalów. Chcę dać prawdziwy obraz sytuacji. Chcę pokazać jak wygląda naprawdę nasza młodzież, przygotowująca się na wysoko kwalifikowanych pracowników. Tylko na podstawie niezafałszowanej diagnozy — można ustalić właściwe środki zaradcze.

A wierzę w te środki. I ich skuteczność. Bo wierzę w potencjalne możliwości naszej młodzieży.

Jestem przekonany zwłaszcza na podstawie zaobserwowanych faktów, że uzdrowi stosunki dopływ tej młodzieży, która dotąd nie zdobywała wyższych kwalifikacji zawodowych. A która w pracy nad odbudową daje dowody nieprzeciętnych wartości. Postawa wobec życia tej młodzieży jest pełna merytorycznej ideowej treści. Ich własny interes — niezawodny sygnał — towarzyszący automatycznie poszukiwaniom na drogach myśli i idei — jest po stronie odnowienia kultury.

Muszą wiedzieć do jakiej kultury dążą, co w przeszłości zwalczają, co w swych mistrzach i tradycjach chcą przezwyciężyć, bo tylko nowa rzeczywistość kulturalna, inna niż dotąd, o innych formach społecznych — utrwali i pogłębi ich własny wysiłek emancypacyjny, da równą, sprawiedliwą miarę ludzkich skarbów masom dotąd pokrzywdzonym. Masom, do których ta nowa młodzież należy, ma wśród nich najbliższych, ma czekających kolei młodszych braci. Im więcej będzie tych nowych, z innych niż dotąd klas, wywodzących się kandydatów, na wysoko kwalifikowanych pracowników — tym lepiej. Bo w masie — nie dadzą się wchłonąć przez dotychczasową większość, która jest — jak wykazywałem — tak ideologicznie bierna, żadna, bezbarwna, nietwórcza, konwencjonalna. A jednocześnie ci nowi, im liczniejsi naraz — tym trwalej będą powiązani z masami, z których wyszli i interesami tych mas, które zawsze powinni reprezentować.

Co więcej i ta młodzież, która dziś już jest na uniwersytetach, imponuje przynajmniej jednym: swoim stosunkiem do życia codziennego, do praktycznych trudności.

Żadne pokolenie nie miało tak twardych warunków.

Rozpiętość cen i płac — dotkliwa dla dorosłego społeczeństwa — dotyka i młodzież. Ci ludzie na nic prawie nie mają czasu, bo walczą o byt. O mieszkanie. O obiad. O konieczne środki egzystencji. Olbrzymi — niespotykany dotąd — procent studiujących pracuje. Tydzień pracy zatem takiego studenta sięga 72 i więcej godzin. To są warunki szczególnie niesprzyjające intensywnej i twórczej pracy umysłowej.

I to powinno społeczeństwo zmienić we własnym interesie.

Potrzebni są nam świetni fachowcy, twórczy, oryginalni. A nie ludzie, którzy liznęli trochę wiedzy — w przerwach między pracami zarobkowymi.

7. ZAUFANIE DO RACJONALNEGO PLANU.

Szukając wyjścia z sytuacji, którą odmalowałem — myślę, że należy zacząć od tego co chcielibyśmy zmienić w typie psychicznym tej młodzieży.

Myślę, że będzie to odbudowanie zaufania do racjonalnego planu w kulturze, do teoretycznego myślenia.

Jest to główna potrzeba nie tylko młodzieży, ale wprost naszej doby. To zaufanie do trzeźwej rzetelnej myśli i jej wyników na gruncie wiedzy o naturze istnieje. Natomiast całkowicie została zachwiana ufność we wszelkie teoretyczne koncepcje dotyczące człowieka, społeczeństwa, planowania i świadomego budowania ludzkiej przyszłości.

Złożyło się na to wiele przyczyn. Przede wszystkim całość kryzysu społecznego doby gnicia kapitalizmu. Panoszenie się relatywizmu i pragmatyzmu. Pogardliwy cynizm faszyzmu, który do ostatecznej granicy doprowadził nadużycie myśli, idei, hasła. Stosunkowa niedojrzałość nauk humanistycznych i małe spopularyzowanie ich empirycznych, przeważnie bardzo nowych wyników i metodologicznych założeń.

Chcielibyśmy zapomnieć o typie studenta-pałkarza z ostatnich lat naszego faszyzmu. Chcielibyśmy odrodzić typ studenta — myślącego, świadomego, szukającego, entuzjastę postępu, typ z czasów młodości Ludwika Krzywickiego. Typ z pokolenia, które nam dało Krzywickiego, Abramowskiego, które kładło zręby pod wyzwoleńczy ruch robotniczy i ludowy lat 1905. Pokolenia którego trzeźwości, jasności myślenia, krytycyzmowi, upodobaniom kulturalnym moglibyśmy zaufać — myśląc o ostatecznym spełnieniu Polski Ludowej.

I takie jest zadanie naszego pokolenia — uczących tę młodzież — stworzyć atmosferę kultu myśli rzetelnej, sprawdzalnej, kultu wartości, które reprezentują tradycje humanistycznej kultury europejskiej, dojrzałej technicznie cywilizacji, empirycznej nauki: Odbudować zaufanie do poprawnej teorii humanistycznej. Nauczyć eliminować brednię, bełkot, przesąd. Związać tę młodzież z racjonalnym, wynikłym ze znajomości faktów, a przeniknietym postępowymi społecznie dążeniami, planem naszej narodowej i ogólnoludzkiej przyszłości.

Osiągnąć się to da po pierwsze przez nadrobienie braków społecznych i materialnych wskazanych wyżej:

To znaczy: 1) zmienić (caeterum censeo...) skład społeczny młodzieży akademickiej wszystkimi dostępnymi środkami. Niech to nareszcie przestanie być frazesem powtarzanym, a stanie się codzienną praktyką odpowiednich organów państwowych i społecznych,

2) poprzeć działalność cennej kadrowej młodzieży, urobionej w konspiracji; wyprowadzić szeroki ogół młodzieży z niewietrzonych rodzinnych saloników i wciągnąć do dyskusji w jasnych salach organizacji społecznych,

3) ożywić atmosferę umysłową naszych uniwersytetów. Przeciw tradycji — a za poszukiwaniami i krytyką starzyzny,

4) uzupełnić luki wykształcenia mas młodzieży przez okupację odciętych od kultury, uzupełnić przez świadome stworzenie specjalnych instytucji społecznych, (jak są nimi lata wstępne uniwersytetów),

5) przez reformę szkolną, natychmiast przeprowadzoną reformę programów urobić nowy typ młodzieży. Dać uczniowi więcej systematycznej, konkretnej wiedzy.

6) ulżyć bytowi studentów. Zapewnić im bursy, stołówki, stypendia, w większym, niż dotąd wymiarze. Uznać to za zadanie również pilne, jak opieka nad robotnikiem ciężkiego przemysłu.

Rozumiem, że wyliczone środki są trudne do uruchomienia w naszych warunkach powojennych. Właśnie dlatego, że dotyczą ściśle zorganizowanych instytucji społecznych.

Dlatego myślę też, trzeba znaczną część ciężaru przerzucić na samodzielną pracę młodzieży: samouctwo, samokształcenie. Ale tego nie można robić bez odpowiednich pomocy. Prof. A. B. Dobrowolski wiele i słusznie pisał jak społecznie zorganizować samokształcenie. Trzeba ten program zacząć realizować. Ale jest i druga sprawa: książki. Olbrzymie zadanie stoi przed pisarzami naszego pokolenia. Tej młodzieży trzeba dostarczyć powieści, rozpraw, artykułów — które by poza szkołą nauczyły tego, o czym wyżej pisałem.

8. W BUDDYJSKIM KLASZTORZE.

Na dodatek, po wnioskach jeszcze jedno, co mnie niepokoi.

Oto w deklaracji ideowej ZMW „Wici" mamy tezę, iż rozwój nauk technicznych spowodował kryzys moralny naszej cywilizacji, sprowadził wojny i faszyzm.

Wybitny działacz PSL — wychowawca, pedagog, wpływowy przywódca nauczycielski pisze, że cechą kryzysu współczesnego, przyczyną czasów pogardy było że „naruszono proporcję między rozwojem intelektu i sfery społeczno-moralnej człowieka". Oczywiście to intelekt zanadto rozwijano. Szczęście zaś naszego narodu wedle tegoż autora ma polegać na tym, że „mamy w sobie instynkty bardziej pierwotne, instynkty, których nie zabiła cywilizacja".

Teoretyczne wydawnictwo uniwersytetów ludowych, organ Ludowego Instytutu Oświaty i Kultury, domaga się stworzenia „własnego polskiego systemu ideologicznego, który trzeba oprzeć na zbadaniu pierwiastków duszy polskiej. Naczelne wartości ogólno-ludzkie: dobro i moc, prawda i piękno muszą być wtopione w podłoże naszej odrębnej psychiki".

Kierownictwo Uniwersytetu Ludowego pod Łodzią nie godzi się z propozycją pewnych członków zarządu, by stworzyć dla uniwersytetu racjonalny stały program nauczania i po prostu dawać wychowankom pewne quantum wiadomości. Upiera się, że zadaniem Uniwersytetu Ludowego jest urabianie dusz. Drogą inicjacji, wzajemnego obcowania, dyskusji, która musi być zaimprowizowana, płynąć z natchnienia, wynikać z sytuacji i dlatego wnikać w duszę. Kształtować osobowość. Czymże jest przy tym jakiś tam schematyczny, tylko informujący kurs biologii, geografii czy historii.

Klasztor buddyjski!

W takiej atmosferze chowa się u nas młodzież chłopska. Biję na alarm! Lękam się o tę młodzież poważnie. W takich warunkach nie wyrosną z nich oczekiwani normalni kontynuatorzy naszej pracy kulturalnej. Przy tym warsztacie naszej tradycyjnej europejskiej kultury, związanej z nauką, z techniką, racjonalistycznej i głęboko ludzkiej. To nie jest moja odosobniona opinia i to opinia pisarza tylko przygodnie śledzącego ruch umysłowy wsi.

O tym samym mówią, te same niebezpieczeństwa sygnalizują, podobnie możliwości młodzieży chłopskiej charakteryzują artykuły we „Wsi", dotyczące właśnie dróg pracy młodzieży chłopskiej.

Myślę, że mimo czujności w szeregu punktów byłem niesprawiedliwy. Że tu i ówdzie skrzywiłem perspektywę obrazu. Los intelektualisty, który patrzy na świat z okna biblioteki.

Spodziewam się jednak, że i zalety i wady mego artykułu powinny spowodować dyskusję. Oczekujemy jej. Zwłaszcza głosów o tej młodzieży robotniczej i chłopskiej, której nie mogłem ostatnio bliżej obserwować i którą w artykule zbyłem paroma zdawkowymi zdaniami.. Czekamy głosów nauczycieli o tych co są jeszcze w gimnazjach i szkołach zawodowych.

Czekamy zwłaszcza głosów samej młodzieży o sobie.

Stefan Żółkiewski

IGOR SIKIRYCKI

Ballada o pardusowym młynie

Ten dzień jemiołą w pamięć wrósł.
Szarpały salwy mgły nad Tanwią.
W odwrocie zgadliśmy wśród wzgórz.
Młyn wbity szumem w lasu kanion.

A szum wciąż rósł i lasem rzedł,
Aż wypadł echem na porębę.
To młyn szumiący do nas szedł
I nagle wzrósł przed nami dębem

A dołem tuż u drzewnych baszt,
Zgięty garbami żytnich worów
Sam młynarz Pardus zmienił twarz
Na krzak dojrzałych pomidorów.

To już nie zwykły Injany chłop
Jastrzebiem głosu załopotał.
To już nie młyn, kryjąc nasz trop
Na ciszę zaparł szumu wrota.

To Pardusowy pot i trud
Przemiany worków żyta w tarcze,
Ramiona nam uporem splótł
I siłą ziemi znów obarczył.

I były znowu świerszcze kul.
Młyn je w ucichłe ściany garnął,
Aż wreszcie powstał i znad pól
Zerwał się w niebo chmurą czarną.

I Pardus odszedł — młyn go skradł
Unosząc górą jak swój terkot.
A tu pozostał tylko ślad,
Skąd chciwie dłonią piach zaczerpnął.
1946 r.

* * *

Przybliżyły się pieśni daleкie,
Nie wybiegasz zawodzić nad Don.
Sczerwieniały na mapach serc rzeki
Zrozumiałaś znów słowo Dom.

Ty rozumiesz żałobę tej ziemi —
Jarzębiny zbryzgane we krwi.
Czarnym pyłem berlińskich kamienic
Oczyścimy swą wolność ze rdzy.

By zapłacić po polsku za wszystko,
Nie dość wierszy. Potrzebny jest czyn.
Bagnet zemsty podwaja się Wisłą
I na zachód gniew niesie Twój syn.
1945 r.

Kołysanka leśna

Czas już zasnąć, towarzysze,
Skryć pod brwiami iskry gwiazd..
Krzywym piórem księżyc pisze
Biały list do naszych miast.

Postrzeloną w konar sosnę
Wiatr skrzydłami miękko objął,
A pod nieba rdzawym mostem,
Jak prom sunie szklany obłok...

Martwym ptakiem spadła szyszka
Na zmierzwioną wrzosów wełnę...
W skrzypie sosny cisza pryska
I znów oczy lasu pełne.

Zanim świtu ostry powiew
Znów wystruga kształty pniom,
Czyjeś ręce nad wezgłowiem
Wzniosą cichy, senny dom.

Czas już zasnąć, towarzysze,
Skryć pod brwiami iskry gwiazd...
Krzywym piórem księżyc pisze
Biały list do naszych miast.
1943 r.

ARAGON

przełożył JAN KOTT

Młodzi ludzie*)

Nic w tym życiu nie dzieje się zupełnie tak, jak sobie to wyobrażamy. Nie wiem, czy na prawdę człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi. Chciałbym z całego serca móc w to uwierzyć, byłbym wtedy spokojny. Ale jeśli tak, to Pan Bóg dziwnie nosi te kule...

Urodzili się prawie w tym samym czasie, Guy i Eligiusz po nadejściu pokoju, a najstarszy Marcel nie miał jeszcze czterech lat w 1918. Nie byli braćmi, nic nie zdawało się łączyć ich losów. Dziwaczna byłaby nawet myśl o tym, tak wydawało się nieprawdopodobne, aby powstał między nimi jakiś związek. Nic na to nie wskazywało, póki świat był w porządku i Guy bawił się pod pięknie lśniącymi stołami swej matki, na Północy, w głębi przestronnego domu, gdzie w salonie meble stały w pokrowcach, a nad fortepianem wielki Chrystus na swoich szklanych nogach... podczas gdy Eligiusz, późny syn małego urzędnika, który wycofał się do Drome, pasał kozy na polu, a z chaty wychodziła z gniewem stara kobieta, ponieważ bydlęta znowu weszły w szkodę... dwunastoletni Marcel miał już wtedy ręce spalone od kwasu w fabryce, która całą dzielnicę wokół placu d'Italie zatruwała odorem gnicia skór, stara drewniana fabryka, skąd odchodziły kolorowe ścieki.

Trudno byłoby im się nawet spotkać. Nie mieli wspólnego języka. Ani wtedy, ani później. Dopóki świat szedł swoją koleją, dni były gładkie i równe, ludzie na swoich stanowiskach i obracająca się maszyna sprowadzała na te same miejsca, o tych samych godzinach oczekiwane postacie, jak w owych starych i skomplikowanych zegarach, gdzie o świcie wychodzi chłop, w południe piękna dama, a o północy czarnoksiężnik...

Nie mieli ani tego samego wzrostu, ani podobnego zachowania, które sprawia, że ludzie o różnym pochodzeniu poznają się jednak w tłumie i odczuwają dla siebie niewytłumaczoną sympatię. Jakież podobieństwo pomiędzy Eligiuszem o wątłych ramionach, ze skrzywionym nosem i czarnymi włosami, które zbyt nisko wyrastały na czole i opadały w kosmykach tak, że zawsze wyglądał rozczochrany — Eligiuszem obdartym, zakurzonym i do tego jeszcze małym — bardzo z tego powodu cierpiał — a Marcelem, podobnym do wielkiego ciemnego ptaka, o długich członkach, poważnej twarzy, z włosami jak pałeczki bębna, które poskramiał, skrapiając brylantyną. Kark miał zawsze starannie wygolony i wyglądał wyjątkowo schludnie w swych biednych łachach. Guy w dwudziestym trzecim roku życia był, co się nazywa, ładnym chłopcem. Miał jasno popielate loki i górną wargę nieco przykrótką, która odsłaniała białe zęby. Dzięki sportom nie stał się ociężały. Dwa razy sprawiedliwie uniknął wojny: urodzony w 1920, podlegał mobilizacji w 40... Wdzięczny był swemu ojcu, wielkiemu fabrykantowi likierów, że dał mu motocykl, dobre wychowanie, chrześcijańskie ideały. Wszystkie poglądy przyjmował od rodziny.

I cóż by o tym mógł pomyśleć Marcel? W końcu 1917-go, jednego wieczoru, w Wersalu milczący sąsiedzi przyprowadzili zakrwawioną kobietę z głową przebitą przez kulę. Była to jego matka. Nie od razu ją poznał, włosy, które były równie ciemne jak u niego, miała rozczochrane. Zabili ją podczas strajku żołnierze annamiccy. Ojciec, zmarły w niewoli pod Królewcem, był tylko pożółkłą fotografią, zgubił ją, kiedy przeprowadzali się na olaboga z całą rodziną ciotki, która przyjęła go na dodatek do sześciu smyków do wysadzania. Jego poglądy... cud, że je w ogóle miał, podobnie jak wielki korpus, który Bóg świadkiem, nie mógł powstać ze strawy, jaką dostawał w tych latach głodu, kiedy kuzyni bębnili mu nad uchem na potłuczonym nocniku, a najmłodszy o twarzy jak naleśnik i włosach ze sznurka ciągnął poważnie czarną gałąź bez liści jak berło o rozchylonych palcach. Praca ocaliła go od cherlactwa, uczyniła wielkim i kościstym tego malca, który z natury był wątły, wbiła mu również w łeb myśli, które kręciły się tam jak szczury. Praca rzuciła go wcześnie pomiędzy ludzi. W tej pracy wyrobił sobie muskuły, które trzymały do kupy długie kości jego szkieletu. W tej pracy wyrobił sobie poglądy, które również zgromadzić musiały razem brutalne dane jego świata. Poglądy gwałtowne jak życie. Panowało w nich przerażenie tą wojną, o której ciągle jeszcze mówiono, tłumaczyło wszystko aż po niewytłumaczalne, krzywdę, pot codzienny, zimy bez opału, przerażenie wojną, która zostawiła za sobą ludzi jak kości źle ogryzione przez psa, wojną, która będzie ostatnią, jeżeli umieć się do tego zabrać, aby w przyszłości Marcele mieli inne dzieciństwo, książki do czytania, ojca jak wszyscy, matkę, która się starzeje... Przyjdzie dzień, kiedy człowiek nie będzie zabijał człowieka.

Ach! co to obchodziło Eligiusza! Nie kochał swoich. Gardził nimi, że nie posiadają majątku, gardził za pozorny dostatek emerytów. Gardził nimi, że nie potrafili zapewnić mu próżniaczego życia, że chcieli z niego zrobić tylko chłopa. Nienawidził ziemi, trudu, który nie ma końca. Nie był silny, nikt by nie powiedział że wyrósł na wsi. Matka, kobieta ograniczona, karmiła go tysiącem przesądów, długo trzymała z dala od innych to dziecko, które późno przyszło na świat, w piętnaście lat po córce, dziś urzędniczce pocztowej. Maleç, owinięty w chustki, blady, dziki. Złośliwy w stosunku do zwierząt, które ścigał, aby je bić bez powodu, krzycząc: Tetete! niezdolny do innej pracy. Nie ma po co pytać, skąd brały się u niego myśli. Nie myślał, snuł tylko marzenia. Marzenia nieokreślone, niekończące się, wszystkie podobne do siebie. Wyrósł wśród swoich marzeń.

Jeśli było coś wspólnego między tymi trzema chłopcami... Ale jestem jak koszykarz, który wiąże plecionkę i oto jedna słomka jest zgniła i ugina się pomiędzy dwoma źdźbłami silniejszymi i nużącą staje się ta zabawa przeplatania trzech oddzielnych losów, to nie jest jednak zabawa: wy nie możecie, tak jak ja, widzieć ramy krzesła, gdzie się splata sitowie, wy nie widzicie horyzontu, gdzie przez chwilę mieszają się trzy spojrzenia... Nie widzicie krwi która ma ten sam kolor dla wszystkich.

Jeśli było coś wspólnego między tymi trzema chłopcami, to chyba pewna skłonność do marzeń. Marzeń, tak niepodobnych do siebie jak ich włosy, fantastycznych odblasków tego samego świata, który wszystkim trzem ukazywał się tak bardzo różny w każdej rzeczy. W jaki sposób Eligiusz lub Marcel mogliby mieć owo zamiłowanie do porządku, które snom Guy'a dawało całą jasność? Dzięki niej jego dzieciństwo było szczęśliwe i połyskiwały meble w jego domu. Cóż dziwnego, że pragnął, aby taki sam porządek panował wszędzie, jak u jego matki. Piękny porządek, nad którym górował Chrystus ponad fortepianem, dostatek zmieszany z dobrocią. Ojciec Guy'a był człowiekiem sprawiedliwym, tak sprawiedliwym, jak to jest tylko możliwe dla człowieka bogatego. Kiedy matka opowiadała dziecku o Bogu, ojciec mówił mu najczęściej o Francji. Francja była dla Guy'a czymś w rodzaju walecznej kobiety o spojrzeniu prostym i jasnym, Joanną d'Arc o rysach matki. U jej stóp rozciągał się pejzaż majestatycznych rzek i katedr, ziemi mądrej, zaludnionej przez uczonych, artystów, rzemieślników, dostojnych mężczyzn i łagodnych dziewcząt.

Nic u jego bliskich nie zakłócało tego marzenia, a wszystko co dzienniki i rozmowy przynosiły z zewnątrz, jeśli tylko było sprzeczne ze świętym obrazem kraju, jaki w nim powstał. Guy z łatwością odrzucał od siebie, nawet wtedy, kiedy miał szesnaście, siedemnaście lat. To nie była Francja.

Jego świat, ten który nosił w sobie jako objawienie niebios, zgadzał się z życiem, które mu ułożono: cały swój zapał oddał dziecinnym i tajemniczym grom harcerskim, które przedłużały książki jego dzieciństwa, przygody czerwonoskórych, filmy o preriach i ów żal za rycerstwem, któremu chciał poświęcić swoją młodą i czystą siłę, szukającą nie przyjemności, ale fizycznego wysiłku.

Podziw jego budził Gerard, wysoki dryblas o kolorze słomy, opalony nawet na Gwiazdkę, z ostrymi zębami jak młody wilk. Gerard, syn oficera, szykował się do wojska. Jednego lata, śród ognisk, które zapalili w lasach Wogezów, Guy przeszedł przez próby wtajemniczenia. Gerard przytknął mu do ramienia czerwone żelazo, skóra zasyczała, ale Guy ani drgnął. Matka się gniewała, to była długa historia. Guy szanował swoją matkę, ale ze skrytą dumą kładł rękę pod koszulę i dotykał blizny.

Cała ta przygoda byłaby chińszczyzną dla Eligiusza lub dla Marcela, gdyby ktoś chciał im o tym powiedzieć. Oto spójrzmy na marzenia Marcela. Życie nie pozwalało mu na rozdzielanie od siebie marzeń. Jeżeli Guy mógł zamknąć oczy na spokojny, zwyczajny i mądry pejzaż swoich snów, Marcel miał prawo jedynie do snu rozbudzonego, snu aktywnego, który ogarniał rzeczy najbardziej zwykłe, najbardziej odpychające wyobraźnię, snu o przyszłości, w której zmieniał się ten sam świat, z którym nie mógł się rozstać ani na chwilę. Te właśnie marzenia, kiedy miał zaledwie szesnaście lat, pchnęły go pomiędzy ludzi jemu podobnych, którzy mówili o odbieraniu chleba, niesprawiedliwości i gniewie.

W XIII okręgu, pośród ciężkich i żółtych dymów swojej fabryki, młody Marcel, obecnie robotnik chemiczny, żył pośród wszelkiego rodzaju ludzi biednych i osobliwych. Ze wszystkich kątów świata zbiegli się do Paryża, tak pięknego i tak strasznego, każdy z nich ciągnął za sobą długą historię ludzką, którą można wyjaśnić jedynie przy pomocy książek z obrazkami, przygód bez uniesień, rozdzierających upadków. Raz, pierwszego maja, zbudziły Marcela strzały i kiedy wybiegł w pośpiechu na ulicę, ujrzał oblężenie dzielnicy Joanny d'Arc. Ludzie strzelali z rozpaczą z okien najnędzniejszych ruder w noc pełną policjantów i żołnierzy, w której krzyżowały się światła, ukazując czerwone wozy strażackie, barykadę u wejścia do dzielnicy, i nagle, na piętrze przerażoną kobietę za powstańcem, trafionym w samo serce. Ta kasarnia nie mogła mu otworzyć dostępu do świata małego skauta Guy'a z jego chóralnymi pieśniami wokół ognisk i pobożnym obrazem Francji. Kiedy w Czerwcu 36 przybył na urlop z wojska do Paryża, wydało się Marcelowi, że drzwi obróciły się na zawiasach; odnalazł całe miasto przemienione, to nie było jednak święto, ludzie na nocleg nie wracali do domu, kręcili się tam i spowrotem, sprowadzone oddziały policji zdawały się lękać, kryły się. Zaczynały się wielkie strajki włoskie, radosne, pełne harmonijek i okaryn, z plakatami, z chorągiewkami o czerwonych i czarnych literach. Siła robotnicza paraliżowała maszynę do zarabiania pieniędzy. W magazynach Lafayette, zmienionych na ogromną sypialnię, gwiazdy sceny śpiewały dla ekspedientek, dla małej Marii, która stała się jego przyjaciółką, jego żoną.

I cóż mógłby zrozumieć Guy z upojenia, z uniesienia tych dni? Rozmaitość ludzi i marzeń: jednego wieczoru w małym szynku na bulwarze de l'Hopitale, emigrant z Włoch z błyskiem w oczach zwierzał się Marcelowi że w końcu odnalazł Francję, tę, o której opowiadano niegdyś na przedmieściach Mediolanu, tę z 48, tę, która do wszystkich krwawiących miast kuli ziemskiej przemyca pieśń... Wypił trochę. Śpiewał Marsyliankę w swoim języku...

Rozmaitość ludzi i marzeń: i cóż Eligiusz do tego wszystkiego... Nie powiedziałem nic o marzeniach Eligiusza. Marzył tylko o samym sobie. Niech zginie świat, i swoi i obcy, aby mógł, choćby na krótko, zatryumfować, błyszczeć, żyć... Przyklasnąłby każdemu wstrząsowi, byle tylko mógł zmienić jego mierny byt, mijanie pór roku, roboty polne, nudne, że można umrzeć. Marzenia zawsze te same: bogaty, poważny, potężny, otoczony przez nadskakujące kobiety... kobiety należące do niego, z wysokich sfer... marzenia górnolotne i mierne, w których nic nie odpowiadało temu, co się dzieje, marzenia jak latarnia magiczna na jarmarkach, następstwo obrazów bez związku... miasta wspaniałe, kolonie z niewolnikami jak na afiszach, aby zaciągać się do piechoty morskiej..., kobiety o oczach podkrążonych, murzynki... Nie, żeby go to naprawdę dręczyło, ale kobiety, to cząstka marzeń o panowaniu, o dumie, aby kimś być. A potem, odwet za usiłowania, których nawet nie próbował, bojąc się, że nie przetrzyma upokorzenia, gdyby któraś z małych smarkul w P... gdzie był zamknięty, wyśmiała jego asymetryczną twarz, jego słabość i go odepchnęła. Dojrzewanie przedłużone, dzikie, niezdrowe. Odwracał oczy, kiedy w jakimś wąwozie spotkał w krzakach jakąś parę w swoim wieku. Marzył tylko o tym, aby być oddzielony od innych, sam i jak gdyby pijany. Nędzne wydałyby mu się napewno troski Marcela, zawsze uwikłane w sporach wulgarnych, materialnych, a sny Guy'a—mieszczańskie. To też marzenie swoje nazywał: Przygodą. Parę przeczytanych książek utrzymywało w nim owo pragnienie nierealnych obrazów, gdzie zawsze Eligiusz uzyskiwał wyjątkową władzę, która płoszyła wszystkich, którzy dotąd w P... traktowali go z takim lekceważeniem.

W jego marzeniach P... stawało we krwi i ogniu. Wszyscy ludzie, których znał, umierali gwałtowną śmiercią. Była wielka zaraza albo tajfun jak mówiono na geografii, albo wojna, rzeź. Sposób nie był ważny, ale w końcu życie rozpoczynało się na nowo, z Eligiuszem obmytym ze wszystkich plam przeszłości. Zamykał oczy, aby widzieć P... w ruinach.

Trzeba wam wiedzieć, że P... jest małą wioską o trzystu duszach, u stóp pagórków, które dźwigają kasztany, niewielkie pola pomiędzy dwoma laskami jak sztuka płótna przy ubraniu z aksamitu, raptowne zagłębienia, które bawią się w wielką górę, wąwozy, gdzie nieraz deszcze zmieniają kamienne ścieżki w potoki, a w rudych piaskach nasypów ciemne doły. Większość ludzi żyje z uprawy roli, rosną śliwy na maleńkiej równinie w P... trochę winnic, pszenicy, żyta. Inni wolą być drwalami, ci są najbardziej śmiali, często są to cudzoziemcy, rzuceni tutaj przez wszelkiego rodzaju przypadki; sprzedają znaczone drzewa, potem kłopot, aby je zwieźć przy pomocy wołów. Żyją nie tylko z tego; wszyscy są potrochu kłusownikami. Nocą strzały każą Eligiuszowi wyskakiwać z łóżka. Nie lubił strzałów. Zawsze w marzeniach zdawało mu się, że to do niego strzelają.

Na grzbiecie pagórka są wielkie gołe przestrzenie, które do niczego nie służą. Nikt ich nie uprawia. Nie rosną na nich drzewa. I tylko gdzieniegdzie opuszczone domy jak wyrzut. Chronią się w nich drwale podczas burzy. Rozpalają ogień, który zostawia czarne ślady na murach. Często Eligiusz przychodził i siadał wśród nich w milczeniu. Ci ludzie nie byli tak złośliwi, jak we wsi. Silniejsi również. W marzeniach chłopca odgrywali rolę niejasną: byli zaprzeczeniem rodziny. Patrzył na nich jak kroją czosnek na chleb. Oni nie zwracali na niego żadnej uwagi. Lubił patrzeć jak lśnią siekiery. Lubił również drażniący zgrzyt pił.

W 1938, kiedy kraj zaczynał drżeć od wielkiego niepokoju, Guy życzył sobie potajemnie wojny, chciał rzucić prawo, wstąpić do wojska jak Gerard; Marcel był przerażony samym sobą, on, który wszystko w myślach poddał gwałtownej religii pokoju, zrodzonej z cierpienia jego bliskich, zaczynał wątpić w porozumienie ludów; wtedy Eligiusz, ciągle przejęty samym sobą, stał się śmiesznym bohaterem przygody, która sprawiła, że mówiono o nim w *Le Petit Dauphinois*.

Wkrótce po Wielkanocy wiózł dla swojego wuja w Grenobli tysiąc dwieście franków, pożyczonych niegdyś przez ojca. W pociągu urzędnicy znaleźli go w klozecie, związanego jak kiełbaska, ograbionego z portfelu i bredzącego coś w półśnie z watą z chloroformem pod nosem. Przez kilka dni w Grenoble i po powrocie w P... był ośrodkiem zainteresowania całej kupy ludzi, rodziny, przyjaciół, nieznajomych, policji. Opowiadał swoją przygodę: został napadnięty, bronił się, ale co zrobić, było trzech mężczyzn i jeszcze chloroform... Na nieszczęście zaczęto go rozpytywać o sznurek, w jaki sposób był zaplątany, odkryto, że zdobył chloroform w Walencji, dzięki sfałszowanej recepcie... Niewiele brakowało, aby sprawa się źle skończyła, policja się gniewała, ojciec płakał. Mer, który, był ich przyjacielem wszystko załatwił. Eligiusz był wściekły, wolałby więzienie, sąd od tej pogardliwej litości, od kpin chłopców w P... kiedy go mijali. Och, on sobie życzył wojny... Tylko po to, aby zaczęto o czym innym myśleć, aby to wszystko zostało zapomniane.

Miał ją z niewielkim opóźnieniem.

***

Jeszcze za wcześnie, aby mówić o tej wojnie bez goryczy. Ja przynajmniej nie jestem do tego zdolny. Piszę to wtedy, kiedy nieszczęście rządzi jeszcze w kraju i chociaż wiele rzeczy stało się jasnych i wyklarowało jak ocet, tyle jest jeszcze podłości, tyle głupoty, że wyrównuje cały heroizm, tylu naszych jest ciągle gotowych odwracać oczy, wyprzeć się tych, którzy walczą, poświęcić ich... że w końcu za wiele byłoby żądać ode mnie, żądać, abym mówił o tych latach bez namiętności.

Otóż ani Eligiusz, ani Guy nie byli w wieku poborowym. Wojna ta była tylko wojną Marcela. Przynajmniej wydawało się, że będzie tylko wojną Marcela. Musiał przejść przez piekło. Nadejdzie dzień, kiedy będzie można opisać tragedię tych ludzi, którzy z całego serca, z całej szlachetności ponad wszystko wierzyli w wielkość pacyfizmu i którzy zobaczyli jak raz za razem ich własny język zostaje skradziony przez ludzi najbardziej podejrzanych, fałszerzy pokoju, którzy podstępnie doprowadzili ich do wojny przegranej z góry, do wojny, której nie mogli ani przyjąć, ani odrzucić, do wojny bez horyzontów, w której usiłowano rzucić ich przeciw sobie samym, przeciwko własnym porywom, własnemu entuzjazmowi. Jednego dnia...

Dla Marcela wojna zaczęła się od wielkiego sporu, od głębokiego zamętu. Wszystko powstawało przeciwko ideałowi, który miał i który obejmował wszystkich ludzi: fakty, komentarze, pozory i wyjaśnienia. Wszystko co się mówiło, wszystko co mogło zostać napisane wystawiało ten ideał na pośmiewisko. Kazano wstydzić się Marcelowi i jemu podobnym za to, co uważali za prawdę oczywistą. Jeśli chodzi o niego samego, posłano go do specjalnego oddziału. Wojsko, jeśli chcecie... bez broni i bez mundurów, opaska, beret i ubrania cywilne. Nazwano to oddziałami pracy. Miano kopać w kierunku na Meaux, Coulomniers siódmą linię wsparcia linii Maginota. Równie dobrze można powiedzieć przedpokój katorgi, gdzie zgromadzono podejrzanych, przestępców kryminalnych, robotników z pasa przedmieść naokoło Paryża, krawców i kuśnierzy żydowskich z okolic Bastylii, białych Rosjan, nieprawdopodobna sałata... Wszystkim kierowali oficerowie, którzy w większości mówili językiem triumfującym, nareszcie... Tym językiem, który Marcel uważał zawsze za język wroga... wroga wewnętrznego i wroga z zewnątrz, złączonych tą samą nienawiścią... I podoficerowie, którzy wyglądali jak strażnicy; w biurach jacyś. Ludzie przybyli z Paryża przeglądali akta. Defensywa. Marcel, jak setki tysięcy Francuzów miał w swoich papierach znak hańby P. P. (podejrzany politycznie), który w wojsku, skąd polityka była tak hałaśliwie wygnana w słowach, oznaczał tych, którzy myśleli inaczej niż było wolno, tych, których za wszelką cenę należało zdyskwalifikować, skompromitować, wmieszać w jakąś brudną historię...

*) Opowiadanie z tomu „Niewola i wielkość Francuzów", który ukaże się w polskim przekładzie nakładem Spółdz. Wyd. „Książka".

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Sfałszowany testament

Nasze ziemie zachodnie cieszą się w dalszym ciągu zrozumiałym i godnym uznania zainteresowaniem społeczeństwa. Warto więc tu przypomnieć sensacyjną intrygę siedemnastowieczną, jaką uknuli wielebni ojcowie jezuici na tle dziedziczenia dawnego księstwa Opolskiego i Raciborskiego czyli dzisiejszego Górnego Śląska.

Sprawę jezuickiej afery śląskiej za czasów Jana Kazimierza opracował Wł. Dzięgiel („Utrata księstw opolskiego i raciborskiego przez Ludwikę Marię w r. 1666". Wyd. Polskiej Akademii Umiejętności, Kraków 1936). Dzięgiel nie wyzyskał jednak wszystkich materiałów rękopiśmiennych, jakie znajdowały się w Archiwum Głównym Akt Dawnych, w Bibliotece Ordynacji Zamoyskiej i w Bibliotece Narodowej w Warszawie.

ZAPRZEPASZCZONA KRAINA

W powszechnym, błędnym mniemaniu przyjmuje się, że Śląsk od sześciu czy nawet siedmiu wieków znajdował się w obcych rękach i że już od czasów piastowskich zostały zerwane stosunki gospodarcze, polityczne i kulturalne łączące tę prastarą polską krainę z resztą ziem Rzeczypospolitej. A przecież jeszcze za Jagiellonów utrzymywano stałe i żywe kontakty pomiędzy Wrocławiem a Krakowem. Na przełomie XV i XVI wieku rządził Śląskiem późniejszy król polski Zygmunt Stary. Za Zygmunta III wysyłali Ślązacy poselstwa do Warszawy prosząc o przyłączenie ziemi śląskiej do Polski. W XVII wieku Górny Śląsk był w olbrzymiej większości zaludniony przez żywioł polski. Chłopi, mieszczanie, przeważająca część szlachty i niższego duchowieństwa mówiła po polsku. Tylko nieliczni koloniści po miastach reprezentowali niemczyznę. Zresztą germanizacja szła od góry: wszystkie wyższe urzędy i wyższe stanowiska duchowne poobsadzane były przez Niemców. Tak narzucona temu krajowi powłoka niemczyzny była cienka i słaba; wystarczyłoby kilkunastu lat zespolenia z macierzą i wszystkie obce naleciałości sczezłyby bez śladu. A w połowie XVII wieku istniała jeszcze możliwość przyłączenia Śląska do Korony. Niestety, zarówno ze strony braci szlacheckiej, jak i ze strony małżonek królów polskich, cudzoziemek (które miały coś niecoś do powiedzenia w tej materii) brakło zrozumienia dla ważności sprawy śląskiej.

Na domiar złego intryga jezuicka pozbawiła nas wtedy nawet tej niewielkiej części Śląska, którą z tytułu zastawu dzierżyli królowie polscy.

I oto mija 280 lat od chwili, gdy na zamku opolskim w czasie hucznej biesiady komisarze polscy przekazali władzę nad ziemią śląską do rąk dygnitarzy austriackich. Wówczas to zaprzepaszczono po raz ostatni i na długo w dziejach Rzeczypospolitej szlacheckiej możliwość przyłączenia księstwa opolskiego i raciborskiego do Korony.

CESARSKI ZASTAW

Położony na rubieżach cesarstwa Śląsk zawsze był traktowany przez Habsburgów po macoszemu. Zagrożeni w posiadaniu ziem rdzennie niemieckich w czasie wojny trzydziestoletniej zaczęli szukać sprzymierzeńców wśród państw ościennych. Rączki nieurodziwych arcyksiężniczek dla możnych kawalerów, a ziemie śląskie dla żonatych władców miały być nagrodą za pomoc udzieloną wojskom cesarskim w wojnie z protestantami. Nic więc dziwnego, że ziemie górnośląskie często zmieniały właścicieli. Przez pewien czas władał nimi z łaski cesarza książę Siedmiogrodu Bethlen Gabor, kiedy indziej rządzili tam jacyś panowie lub książęta austriaccy. Ponoć nawet samego Wallensteina łudzono mirażami śląskimi.

Również i polski sąsiad jako pożądany sprzymierzeniec w przewlekłej trzydziestoletniej wojnie — był kuszony na przemian wątpliwymi wdziękami austriackich arcyksiężniczek lub widokami oddania Śląska. Wytworzyła się taka sytuacja, że bez większych trudności i bez komplikacyj międzynarodowych można było odzyskać oba księstwa, opolskie i raciborskie. Sami Ślązacy wyciągali ręce do Polski błagając o pomoc. Niestety, ultrakatolicki szwagier dworu cesarskiego, Zygmunt III potrafił tylko karcić niesfornych poddanych, buntujących się przeciwko pobożnemu władcy wiedeńskiemu.

Więcej zrozumienia dla tej sprawy okazał Władysław IV. Sytuacja jednak była teraz znacznie trudniejsza. Mimo to energiczny król doprowadził do tego, że cesarz zgodził się oddać Polsce na 50 lat dzisiejszy Górny Śląsk tytułem zastawu na zabezpieczenie niewypłaconych dotąd posagów żon habsburskich Zygmunta III i posagu Cecylii Renaty. Zastaw miał charakter prywatny, warunki umowy były dość ciężkie, ale wspólność granic, języka i obyczajów mieszkańców rokowała nadzieję, że po 50 latach Śląsk zrośnie się już nierozerwalnie z macierzą.

Ujemna strona transakcji polegała między innymi na tym, że oba księstwa pozostawały w prywatnym zarządzie króla i jak się należało spodziewać, były traktowane jako scheda w podziałach i familijnych rozgrywkach Wazów. Ujawniło się to z całą jaskrawością w trzy lata później, w czasie bezkrólewia po śmierci Władysława IV. Jako kandydaci do tronu wystąpili dwaj bracia zmarłego króla, kardynał Jan Kazimierz oraz biskup wrocławski Karol Ferdynand. Rywalizacja zakończyła się układem polubownym: koronę wziął starszy brat, Jan Kazimierz; przy młodszym pozostały oba księstwa śląskie.

Nowy posiadacz Śląska rozstał się w maju 1655 roku z tym światem. Zgodnie z prawem spadkowym i testamentem zmarłego oba księstwa miały przypaść w udziale Janowi Kazimierzowi, przez co znów zostałyby połączone z Polską. Wprawdzie Jan Kazimierz oddał odziedziczone ziemie żonie swej Ludwice-Marii, ale w praktyce unja Śląska z Polską została utrzymana.

JEZUICKA INTRYGA

Nagle — grom z jasnego nieba. Zimą 1665 roku zjawia się w Warszawie dyplomatyczny przedstawiciel dworu austriackiego, magnat czeski Franciszek Ulryk hrabia Kinsky, który powołując się na nikomu nieznany testament królewicza Karola Ferdynanda z 1652 roku domaga się wydania księstwa opolskiego i raciborskiego cesarzowi.

Ogólna konsternacja!... Powszechnie znany był napisany w Wyszkowie 9 maja 1655 roku testament, w którym zmarły królewicz ustanawiał generalnym spadkobiercą Jana Kazimierza, swego brata. Tymczasem cesarz powoływał się na spisany jakoby w Warszawie 10 kwietnia 1652 roku akt ostatniej woli, w którym królewicz zrzeka się na wypadek swej śmierci obu księstw na rzecz... c e s a r z a, zobowiązując go tylko do wypłacenia jezuitom olbrzymiego legatu w sumie sześciuset tysięcy złotych. (Trzeba pamiętać, że ówczesny złoty polski posiadał siłę nabywczą kilkaset razy większą od dzisiejszego).

Wprawdzie wiedziano w Polsce, że Karol Ferdynand napisał w swoim czasie jakiś testament, który później zniszczył, ale zgoła było nieprawdopodobne, aby jako sukcesorów ustanawiał cesarza i jezuitów. Ponadto pretensje cesarskie w 10 lat po śmierci królewicza wydały się wszystkim dziwne i podejrzane. A wreszcie, sprawa z punktu widzenia prawnego przedstawiała się jasno jak słońce. Bowiem gdyby nawet testament z 1652 roku był autentyczny, to i tak w myśl obowiązujących zasad został on anulowany, obalony przez drugi testament, późniejszy, z roku 1655 ustanawiający dziedzicem — Jana Kazimierza. Tak rozumowano na królewskim dworze.

Ale na to austriacki dyplomata poprosił z obleśnym uśmiechem o przedstawienie mu, okazanie tego drugiego, późniejszego testamentu.

I oto rozpoczęto energiczne poszukiwania testamentu królewicza Karola Ferdynanda. Ludwika Maria przypomniała sobie, że przed laty testament ów wraz z aktami ostatniej woli Zygmunta III i Władysława IV złożyła na przechowanie u swego spowiednika, ojca jezuity Lerichona, zmarłego przed rokiem. Przeprowadzone śledztwo wykazało, że po śmierci spowiednika królowej wszystkie papiery zabrali jego przełożeni. Dwór królewski wystąpił do zakonu z kategorycznym żądaniem zwrotu dokumentów złożonych o. jezuicie Lerichonowi. Jakoż niebawem „odnalazł się" testament Władysława IV. Nieco później na uporczywe naleganie dworu „odnalazł się" również testament Zygmunta III. Natomiast testamentu Karola Ferdynanda nie można było... „odnaleźć". Przepadł jak kamień w wodę. Zaginął. Amen.

Dalsze śledztwo wykazało, że testament z roku 1652, na który powoływał się cesarz był po prostu sfałszowany przez oo. jezuitów, którym szło o uzyskanie olbrzymich korzyści materialnych. Aby utrudnić udowodnienie fałszerstwa, spryciarze sporządzili notarialny odpis testamentu, zaś sfałszowany dokument zniszczyli względnie ukryli w bezpiecznym miejscu. Następnie porozumieli się z cesarzem. Naturalnie, poczciwy katolicki monarcha austriacki który z pewnością był wtajemniczony w jezuickie machinacje, zagwarantował oo. [illegible]tom, że z chwilą powrotu ziem śląskich pod berło Habsburgów olbrzymi legat będzie zakonowi wypłacony.

Chociaż więc dwór polski był przekonany o sfałszowaniu testamentu, należało przeprowadzić w Wiedniu i na arenie międzynarodowej odpowiednią kampanię, która by wykazała bezpodstawność żądań cesarskich i jezuickich.

Tymczasem Warszawa została zaskoczona w związku z tą sprawą arcydziwnymi wypadkami.

TRZEJ MEDYCY IMĆ ŻEBROWSKIEGO

Imć Tomasz Żebrowski pochodził z drobnej szlachty zaściankowej. Liznąwszy trochę nauki otrzymał stanowisko pomocnika pisarza w kancelarii koronnej, jako że gęsim piórem po papierze sprawnie wodzić potrafił.

Pewnego dnia zawitał do mrocznej oficyny, gdzie mieściła się kancelaria, jakiś pokiereszowany, zaciągający z ruska drab. Pod nieobecność przełożonych imć Tomasza drab oświadczył, że zwie się Iwaś z Sącza i chce złożyć pewne zeznania z prośbą o zakomunikowanie ich dalej zwierzchnikom pisarza, a nawet i miłościwie panującemu królowi.

Imć Tomasz drżącą ze zdenerwowania ręką spisywał zeznania i sadząc często gęsto kleksy zasmarował inkaustem kilka stron. Po wyasygnowaniu Ignasiowi paru czerwonych złotych ze swej chudopacholskiej kalety polecił mu przyjść za trzy dni, a sam nacisnął z fantazją czapkę na głowę i pobiegł na miasto, szukać znajomych oficerów gwardii królewskiej. Im to z radością wielką opowiedział, że on jeden może tajemnicę testamentu królewicza Karola Ferdynanda wyświetlić, a „jezuitów w takie piekło zapędzi, że ich stamtąd sam cesarz nie wyprowadzi". Zaklinał tylko na wszystko, aby pod nieobecność Króla Jegomości i wyższych urzędników kazali przyaresztować trzech jezuitów, a jemu dali dziesięciu ludzi dla eskorty do Grójca, dokąd po ważne papiery co koń wyskoczy pędzić musi.

Jakoż pojechał, wrócił z jakimiś papierami i pełen nadziei czekał na powrót króla i swych przełożonych.

Od tej chwili zaczęły się dziać rzeczy zgoła nieprawdopodobne. Aresztowanie trzech czcigodnych oo. jezuitów wywołało zrozumiały protest i gwałtowną reakcję ze strony zakonu.

Przełożeni imć Tomasza zażądali od niego wyjaśnień. I tu nasz bohater jakby się zupełnie odmienił. Inny duch w niego wstąpił!... Niczego nie pamiętał, o niczym nie wiedział, a o testamencie królewicza Karola Ferdynanda zdawał się w ogóle nie słyszeć.

Okazuje się, że wypadki całkowitego zaniku pamięci zdarzyły się nie po raz pierwszy dopiero na procesie norymberskim, jak żeśmy to byli skłonni naiwnie mniemać.

Nagabywany przez swoich przełożonych przedstawił im w końcu nie byle jakie świadectwo, podpisane przez trzech najprzedniejszych medyków warszawskich. Znakomici przedstawiciele warszawskiej sztuki lekarskiej zaświadczali, że jegomość Tomasz Żebrowski cierpi na dziwną chorobę, a mianowicie, co parę lat zapada na jakoweś dni kilka trwające szaleństwo, podczas którego dokonuje czynów fantastycznych i zgoła bezecnych.

Skruszony imć Tomasz zeznał, że już od wczesnej młodości cierpi na podobne ataki szaleństwa i za popełnione względem oo. jezuitów przewinienia pokornie o przebaczenie prosi.

Rzecz arcyciekawa, że i ów Iwaś z Sącza, który nie mógł być chyba wytworem „chorobliwej" fantazji imćTomasza, gdyż koledzy pomocnika pisarza i gwardziści dworscy na własne oczy tego draba o pokiereszowanej gębie widzieli — że Iwaś, powiadamy, przepadł jak kamień w wodę, w kancelarii koronnej więcej się nie zjawił i nikt go już w Warszawie później nie widział. Różnie o nim mówiono. Jedni podawali, że był to pacholik przyboczny Karola Ferdynanda, drudzy dowodzili, że jako hajduk u austriackich posłów służył, inni wreszcie, że był stajennym i drwa w konwencie oo. jezuitów rąbał. Mniejsza w końcu kim był, dość, że się więcej nie pokazał. Czy uciekł z Warszawy, czy go kara boska lub doczesna spotkała, nie wiadomo.

Zaginęły również spisane przez imć Żebrowskiego zeznania Iwasia z Sącza.

Sprawa należała do „delikatnych", ze względu na to, że wmieszany w nią był jeden z najpotężniejszych zakonów wraz z zaprzyjaźnionym mocarstwem. Sfery dworskie nie mogły jakoś uwierzyć w „szaleństwo" imć Tomasza.

I oto pewnej nocy zjawił się na kwaterze pomocnika pisarza koronnego pan Grusza, unterofficyer dragonów, człowiek biegły w indagowaniu jeńców kozackich i tatarskich. Pan Grusza oraz jego trzej subalterni przywiązali wprawnie imć Żebrowskiego sznurami do łóżka i wzięli go na spytki. Kto wie, czy unterofficyer nie wyleczyłby swymi metodami imć Żebrowskiego z „szaleństwa"... Niestety, dziwnym losu zrządzeniem na kwaterze znajdował się „Kulwik, chłopię ze szkół jezuickich". Pacholę wybiegło na ulicę, narobiło rumoru i pan Grusza musiał zmykać jak niepyszny zostawiając na domiar na kwaterze swoje sznury konopne.

Imć Żebrowski nie czekał na następne odwiedziny pana Gruszy lub jemu podobnych. Wniósłszy uroczysty protest opuścił czym prędzej granice Polski Opowiadano później, że oo. jezuici wypuścili mu w dożywocie foremną wioseczkę koło Ołomuńca na Morawach.

WESOŁA STYPA

Tymczasem dwór królewski szykował się do walnej batalii, jaką mu wypadało stoczyć z najlepszymi jurystami świata, obrońcami cesarza i jezuitów.

Na szczęście udało się znaleźć kopię testamentu z roku 1655 (na rzecz Jana Kazimierza), o istnieniu której zakon nie wiedział. Również ustalono ponad wszelką wątpliwość, że kwestionowany wcześniejszy akt został sfałszowany przez dawnego spowiednika królewicza — spadkodawcy. Sam cesarz nawet wygadał się w rozmowie prywatnej, że mu się jezuici przyznali do fałszerstwa. Powołani do rozpatrzenia tych spraw najwybitniejsi juryści niemieccy oraz profesorowie uniwersytetów w zupełności przyznawali rację królowi polskiemu.

Niestety, nic to nie pomogło. Stanowisko jezuitów, popieranych przez cesarza było tak mocne, że wielebni ojcowie nie potrzebowali się liczyć z żadnymi argumentami z dziedziny prawa, dobrej wiary i słuszności.

Sprawa zaczęła się przewlekać. Trzeba było jednak pójść na ustępstwa... Wreszcie po długich targach, wiosną 1666 r. doszło do kompromisu. Cesarz Leopold za sumę jednego miliona dwustu tysięcy florenów płatnych w trzech ratach wykupywał od Ludwiki Marii oba księstwa śląskie. Od sumy tej potrącone zostało sto tysięcy florenów na rzecz zakonu jezuitów.

Tak więc z powodu kryminalnej afery wielebnych ojców, perfidii austriackiej i cynizmu Ludwiki Marii, która w każdej chwili gotowa była przefrymarczyć całą koronę polską — straciliśmy prastare ziemie górnośląskie, które znów na lat 280 miały pójść na pastwę niemczyzny.

Ostatni akt tragikomedii rozegrał się w Opolu. Na uczcie wydanej przez delegację polską 30 maja 1666 roku reprezentanci obu stron pili na umór. Nazajutrz odbyło się uroczyste przekazanie władzy nad ziemią śląską cesarskim komisarzom. Ze strony miejscowej śląskiej szlachty przemawiano po polsku. W tym samym języku odpowiedział delegat polski, biskup Koryciński dziękując ludności za uczucia wierności jakie okazywali polskim władcom. Następnie — mowy grzecznościowe delegatów obu stron po łacinie. W końcu— przemówienie delegata cesarskiego do Ślązaków, tym razem już po niemiecku.

A wieczorem znów — uczta, wino, miód, wiwaty z moździerzy. Gwarno było. Wesoło! A jakże!... Śląską ziemię znów ogarniała niemiecka łapa.

A gdzieś tam w zacisznych celach klasztornych wielebni ojcowie jezuici liczyli zarobione judaszowe srebrniki.

Młodzi ludzie

(ciąg dalszy ze str. 3)

W taki sposób w 1939 powoływano Marcela i innych do obrony Francji. Taki dawano jej obraz. Pomyślcie, ile było trzeba, ile przejść musiało wydarzeń, aby w końcowym rachunku, na przykład Marcel i Guy odnaleźć mogli wspólną mowę: mówić ze sobą o wspólnej ojczyźnie. Taki Guy, który nie rozumie, że mogą być ludzie, którzy urodzili się Francuzami i dla których niczym jest ów sztandar, trzymany przez innych, na który on, Guy, nie może patrzeć bez uniesienia, kiedy wznosi się ku niebu. A jednak pod osłoną tego sztandaru cóż napotkał Marcel poza policją, która osaczała dzielnicę biedaków w Paryżu, ludzi, którzy nie wiedzieli już co ze sobą zrobić? W jaki sposób ta wojna mogła stać się jego wojną?

Było to przeciwieństwem tego co później przeszło do rozmów, do dzienników ludzi z Vichy. Ci nie zrezygnowali ze swojego języka. Wielkie słowa ciągle w nim panowały: honor, ojczyzna, wierność, lojalność... Ale oto pod tą chorągiewką przechodził inny towar. Ci, których zamykano niegdyś, ponieważ krzyczeli przeciwko wojnie, albo żądali chleba, teraz nie chcieli klęczeć, służyć wrogowi, podpisać się pod śmiechu wartym pacyfizmem generałów, którzy przeszli do nieprzyjaciela, ci sami, ci sami mówili teraz o Francji,, o Ojczyźnie, ci sami szli do więzień. Opowiadano straszne historie o kaźniach i obozach.

Potem zaczęły się egzekucje; spadały głowy. Niemcy i Francuzi cudownie się zgadzali w wyborze tych, których zabijano, którzy byli gotowi, którzy byli gotowi iść na szafot z okrzykiem: Niech żyje Francja!

Co do Marcela, twierdzono, że nie potrzebuje obawiać się nowego poboru, ponieważ został zwolniony. Tak przynajmniej opowiadano sobie w Saint-Etienne. I cóż mogli wiedzieć o tym, czego winien się lękać, o tym co robi? Nie opuściły go marzenia, zawsze miał ten sam co dawniej charakter, który rzucał go w niebezpieczeństwa dni bieżących jeszcze w przededniu wydarzeń.

(Dokończenie nastąpi).

MARIA FIDERER

Rewolucja w rocznicę rewolucji

Londyn, w styczniu 1946 r.

W jesieni 1845 roku Anglii groził głód. Rzecz z perspektywy stu lat niezrozumiała dla dzisiejszych konsumentów bekonu, ale w owym czasie cztery miliony ludzi w Irlandii i dwa miliony w Brytanii żywiło się prawie wyłącznie ziemniakami.

Właśnie wtedy wybuchła jakaś złośliwa ziemniaczana epidemia i trzy czwarte zbiorów po prostu zgniło. Była to katastrofa, której ówczesny torysowski gabinet Peel'a musiał jakoś zaradzić. Na tym mogło się skończyć. Ale właśnie to był dopiero początek, cała sprawa bowiem miała swoje mocno skomplikowane kulisy i sięgała znacznie dalej w przeszłość i jak się później okazało — w przyszłość.

Otóż w roku 1828 pod wpływem wojen napoleońskich, blokady kraju a wskutek tego rozwoju własnego rolnictwa, wydano prawo, które miało chronić i protegować angielską produkcję rolniczą, tak zwane Corn Law. Prawo to albo wręcz zakazywało wwozu pewnych produktów rolniczych, albo nakładało na nie tak wysokie cła, że w rezultacie przywóz ich był zupełnie niemożliwy. Prawo to oczywiście chroniło przy okazji interesy landlordów zapewniając im stały i niezmiennie wysoki dochód z renty gruntowej kosztem ciągle rosnącej ludności miejskiej: przedsiębiorców przemysłowych i robotników. Rewolucja przemysłowa wysuwała szybko obie te klasy i kapitalistów i robotników na pierwszy plan zainteresowań gospodarczych rządu, a parlament o torysowskiej większości nie odpowiadał zupełnie strukturze społecznej kraju. Właściciele ziemscy byli wtedy głównym oparciem Torysów i operowali dość skutecznym, choć słabo uzasadnionym argumentem, że obniżenie cen żywności pociągnie za sobą automatycznie obniżenie płac roboczych, oraz całym kompletem argumentów o wolnym handlu. „Był to już nie spór pomiedzy miastem i wsią, ale po prostu pomiędzy biednym a bogatym".

Radykalne mieszczaństwo angielskie zawiązało wtedy Anti-Corn Law League która w wyborach wprowadziła do Izby Gmin swoich dwu najbardziej wojowniczych przedstawicieli, Cobden'a i Bright'a. W tym też okresie powstał „Economist", najlepszy do dziś i najpoważniejszy tygodnik angielski, jako bojowy organ Anti-Corn Law League.

Argumenty Ligi przekonały częściowo samego Peel'a tak że skłonny był poddać rewizji restrykcje przywozowe, głównie, aby zapobiec klęsce głodu w Irlandii. Sprawy jednak potoczyły się znacznie szybciej, ku znacznie bardziej radykalnym rozwiązaniom. Kryzys wybuchł 22 listopada 1845 kiedy to lord John Russel, przywódca Whigów zażądał w Parlamencie całkowitego zniesienia Corn Law, co zmusiło Peel'a do natychmiastowych decyzji. Sytuacja była tak napięta, że nawet „Times" popełnił pierwsza od chwili powstania i do dziś niewyjaśnioną gaffe, kiedy to 4 grudnia ogłosił że gabinet Peel'a jednomyślnie przyjął decyzje uchwalenia Corn Law, co jest oczywiście nie wymagającą komentarzy korzyścią dla społeczeństwa".

Ale gabinet wcale nie był tak jednomyślny, jak to zbyt pośpiesznie ocenił „Times" i w ciągu tygodnia — podał się do dymisji. Lord Russel odrzucił propozycję stworzenia gabinetu, silnie protekcjonistyczne skrzydło Torysów nie chciało się podjąć tego zadania, tak że „na Boże Narodzenie 1845 roku kielich z trucizną" wrócił z powrotem do Peel'a, który tym razem wykazał zupełnie sokratyczne cnoty obywatelskie. Mając poparcie tylko jednej trzeciej członków swojej partii przeprowadził przez Parlament ustawę znoszącą całkowicie Corn Law. Doprowadził oczywiście do rozbicia partii.

Wytworny Disraeli, znany dandys owego czasu i autor sentymentalnych powieści, zarzucił mu dość brutalnie zdradę. Porównał go w swych gwałtownych przemówieniach do politycznego kramarza który kupił swą partię po niższej cenie, a sprzedał za wyższą i do tureckiego generała, który z całą swą flotą wyładował w porcie wroga ku wielkiej konsternacji Sułtana.

Disraeli zresztą osobiście nie znosił Peel'a.

„Bezpośrednie skutki gospodarcze zniesienia Corn Law były mniejsze aniżeli się spodziewano" Przyszły za późno. Przeszło milion ludzi w Irlandii umarło z głodu. Potem zaczęła się ogromna emigracja, która ośmio milionową ludność Irlandii doprowadziła w roku 1851 do sześciu milionów a dziś do czterech. Był to proces demograficzny, niespotykany dotychczas w zachodniej Europie. Zgniłe ziemniaki podważyły zupełnie całe życie społeczne w Irlandii, ale zmieniły politykę Anglii.

Przewidywania i przeciwników i zwolenników Corn Law okazały się niesłuszne. Ceny zboża były wtedy bardzo wysokie, na rynkach światowych zostały tylko niewielkie nadwyżki polskiego i rosyjskiego ziarna, które, jak skarży się „Economist", po cenach specjalnie wyśrubowanych sprzedano Anglii. Ale rezultaty zniesienia Corn Law sięgały znacznie głębiej, w strukturę całego życia gospodarczego. Oto Anglia zmuszona płacić za import żywności (który zawsze jeszcze opłacał się bardziej aniżeli własna produkcja rolnicza, zwłaszcza przy wzrastającej stopie życiowej) rozwinęła się szybko, jako wielki eksporter dóbr przemysłowych. Cały problem dzisiaj polega na tym czy Anglia wyprodukuje dostateczną ilość towarów, aby płacić nimi za żywność. W epoce walki przeciwko Corn Law ludzie mieli tylko jeden argument z zakresu ekonomii liberalnej przeciwko ich zniesieniu: że naruszy to prywatny interes przedsiębiorcy. Wątpliwość taką rzeczywistość dzisiejsza rozstrzyga krótko i węzłowato.

UPAŃSTWOWIENIE PRZEMYSŁU WĘGLOWEGO.

„Prawo ustanawiające publiczną własność przemysłu węglowego oraz przedsiębiorstw i obiektów z nim związanych, wydane niech będzie przez Jego Najdostojniejszą Wysokość Króla za poradą, zgodą i poparciem Lordów Duchownych, Lordów Świeckich oraz Ludu, zebranych w obecnym Parlamencie, jak następuje". Dalej rzeczywiście pod datą grudnia 1945 roku następuje tekst ustawy nacjonalizacyjnej.

Dziś, w kontekście pięcioletniego planu nacjonalizacyjnego rządu jest to rewolucja o mniejszym efekcie, ale rewolucja niewątpliwie głęboka. Węgiel jest podstawą przemysłu węglowego, jednego z największych przemysłów Anglii, a jest w ogóle zasadniczym elementem składowym każdego przemysłu, nie mówiąc już o opale, który tu systematycznie marnotrawią w otwartych kominkach, zyskując maksimum efektów świetlnych i minimum ciepła i wydając na to rocznie dziesięć procent dochodu społecznego i pięć procent budżetu domowego pod rubryką „opał i światło". Bill został wniesiony przed lud zebrany w Izbie Gmin i najprawdopodobniej zostanie uchwalony. Będzie to jednak dopiero początek znacznie bardziej skomplikowanych procesów gospodarczych, jeden z najtrudniejszych problemów obecnego rządu.

CZARNA PLAMA.

„Jedyną prawie czarną plamą na Froncie Wewnętrznym (Home Front) podczas wojny był przemysł węglowy", powiada autor książki „New Deal for Coal" Harold Wilson. Jest to rzeczywiście czarna plama na dobrej reputacji społeczeństwa angielskiego, w dodatku plama zastarzała i niełatwo dająca się wywabić.

Przemysł węglowy w Anglii ma trzy zasadnicze ujemne cechy, a zatem trzy trudności, którym rząd musi podołać: ogromne rozdrobnienie przemysłu, bardzo stare urządzenia techniczne, a w ogóle brak mechanizacji produkcji, co powoduje bardzo małą wydajność na głowę robotnika.

Z końcem 1943 roku w Wielkiej Brytanii było około 1,700 kopalń, produkujących węgiel, których wydobycie w tymże roku wyniosło ogółem 194,490,000 ton. Z tego 466 (prawie jedna czwarta ogólnej cyfry) kopalń zatrudniało mniej niż 20 robotników, w sumie 4,059 robotników, z ogólnej cyfry ok. 710,000. Prawie połowa kopalń (807) zatrudniała mniej niż stu ludzi każda, w sumie 19,000 robotników, którzy wydobyli 4,660,000 ton.

Tak więc 46 proc. ogólnej liczby kopalń zatrudniało mniej ni 3 proc. ogólnej liczby robotników przemysłu węglowego i dawało 2 proc. całej produkcji.

Na drugim końcu tej skali znajduje się 234 kopalń z których każda zatrudnia ponad tysiąc robotników (w sumie ok. 364 tys. ludzi) i dają 107,860,000 ton rocznej produkcji. Po przeliczeniu na procenty 13 proc. ogólnej ilości kopalń zatrudnia 51 proc. robotników i daje 53 proc. całej produkcji. Stąd już prosty wniosek, że większe kopalnie są daleko bardziej produktywne, biorąc pod uwagę zarówno ogólną ilość wyprodukowanych ton, jak też wydobycie na głowę. (W kopalniach zatrudniających mniej niż stu robotników roczne wydobycie na głowę wynosi 244 ton, podczas kiedy w kopalniach zatrudniających więcej niż tysiąc robotników — dochodzi do 296 ton. W porównaniu z innymi krajami Europy i Ameryki, wydobycie węgla w Wielkiej Brytanii jest bardzo niskie. Ilość ton wydobytych przez jednego robotnika w jednym dniu roboczym wynosiła w roku 1938 dla W. Brytanii — 1,17, dla Polski — 1,82, dla Stanów Zjednoczonych — 4,44). Od wydajności kopalń zależały oczywiście wkłady kapitałów w nowe urządzenia, jako też płace robotnicze, a przede wszystkim ceny węgla tak na rynkach światowych jak i wewnętrznych. W 1943 roku w okręgu o najwyższej produkcji węgla (Leicester) robotnik dostawał za szychtę 24 szylingi 11 pensów, a tona węgla kosztowała 20 sz. 2 p., podczas gdy w okręgu o najniższej produkcji (Cumberland) robotnik otrzymywał za szychtę 19 sz. 6 p., a tona węgla kosztowała 42 sz. 6 p.

Wszystko razem tworzyło błędne koło, z którego w końcu nikt nie mógł się wydostać, ani rząd, ani przedsiębiorcy, ani robotnicy, choć wszyscy tego chcieli i wszyscy w sobie właściwy sposób — próbowali.

STARA HISTORIA.

Wzajemny stosunek dwu zasadniczych elementów produkcji: kapitału i pracy, to znaczy wzajemne stosunki pomiędzy przedsiębiorcą a robotnikiem nie zmieniły się w przemyśle węglowym W. Brytanii chyba od czasu jak Engels pisał swoją „Historię klasy robotniczej w Anglii". Notabene, dopiero po bliższym przyjrzeniu się tym zupełnie klasycznym wzorom konfliktów poczyna się rozumieć genealogię marksizmu, związanie całej teorii z brytyjskim terenem doświadczalnym.

Jedynym czynnikiem niezmiennym w gospodarczym procesie produkcji węgla były prawdopodobnie zyski przedsiębiorców, co do których brak danych statystycznych. Natomiast cena węgla była uzależniona od wysokości płac roboczych w stosunku wprost proporcjonalnym. Kiedy tylko płace zyskiwały sprawiedliwy i rozsądny poziom, ceny węgla natychmiast szły w górę i następował kryzys. Na tej karkołomnej huśtawce balansował angielski budżet, w którym węgiel — wypierany z rynków światowych przez Polskę i Niemcy gwałtownie subsydiujące swoje kopalnie — stanowił coraz mniej pewną pozycję.

Oczywiście coś można by zrobić, gdyby udało się *jakoś* załatwić z robotnikami, ale robotnicy, jak to już kiedyś zauważył Marks, mieli tylko jedną możliwość działania: co jakiś czas urządzali strajki.

W roku 1925, po okresie przejściowej wysokiej koniunktury, przedsiębiorcy zaproponowali nowe obniżenie płac poprzez przedłużenie dnia roboczego o godzinę (z siedmiu do ośmiu). Rząd zapobiegł strajkowi ustanawiając subsydium po dwa szylingi sześć pensów od tony. Ale kiedy do kwietnia 1926 roku na koszt podatników wypłacono 23 miliony funtów, Królewska Komisja, wybrana do zbadania tych spraw założyła absolutne veto przeciw subsydiowaniu. Przedsiębiorcy postanowili obniżyć płace. Związek Górników proklamował strajk, który 3 maja przeszedł w Strajk Generalny i trwał dziewięć dni.

Strajk w kopalniach trwał znacznie dłużej. Dziwne rzeczy działy się wtedy na zielonej wyspie. „We wrześniu nędza i głód w okręgach węglowych były tak wielkie, że delegacja Związku chciała na nowo rozpocząć pertraktacje za pośrednictwem rządu. Jednakże właściciele odmówili zaproszenia rządu, twierdząc, że ich National Association nie jest dostatecznie przygotowana do pertraktacji. Nawet rząd konserwatywny uznał to za nadużycie zaufania, ponieważ dekret o przedłużeniu czasu pracy został wprowadzony w tym mniemaniu że przedsiębiorcy „podwyższą płace". Ale nie podwyższyli. Przeciwnie kiedy z głodu i nędzy późną jesienią, strajk zupełnie się załamał obniżyli płace jeszcze o szylinga.

Państwo nie tylko dopłaciło owe 23 miliony wspomnianego wyżej subsydium, ale straciło wiele rynków zagranicznych. Traciło je zresztą potem ciągle, wskutek wysokich kosztów wydobycia tak, że w latach pomiędzy 1933 a 1938 udział Wielkiej Brytanii w światowym eksporcie węgla spadł z 46 proc. do 37 proc.

Nie pomogły traktaty, w których różne państwa Europy zobowiązywały się do zakupu pewnej ilości węgla w Anglii wzamian za zakup ich produktów rolniczych. Zawiodły próby stworzenia międzynarodówki węglowej producentów na wzór światowego Kartelu Stali. Przyczyny leżały raczej w tym, że w 1938 r. tylko 59 proc. węgla wydobywano, a tylko 54 proc. przewożono *mechanicznie*. Resztę wydrapywał z ziemi człowiek sposobami z czasów dynastii Tudorów, człowiek, którego zasypywały zapadające się stropy, zalewała woda, zjadała choroba płuc nystagmus, który wywoływał pył węglowy i wilgoć.

W roku 1938 zginęło w kopalniach 838 górników, czyli 1 proc. ogółu zatrudnionych, 131,777 t.j. 1/2 ogółu zatrudnionych było rannych i niezdolnych do pracy przez więcej niż trzy dni. Bardzo niekompletne statystyki podają, że w 1938 r. zanotowano nowych 1,019 wypadków nystagmus, obok 483 wypadków z lat poprzednich które wywołały całkowitą, albo długotrwałą niezdolność do pracy. Odszkodowanie, które dostawał człowiek w takim wypadku pozwalało mu na „niższy niż ludzki poziom życia".

Człowiek w okręgach węglowych z ojca na syna dziedziczył kopalnię, nędzę, chorobę i śmierć. W grudniu 1938 roku przemysł węglowy zatrudniał 27,600 młodzieży poniżej lat szesnastu, którym płacono znacznie niższe płace i wydalano zwykle w wieku, w którym mogli się upomnieć o wyższą stawkę.

W ciągu lat trzynastu (od 1927 do 1939) przeciętna liczba bezrobotnych wynosiła 225 tysięcy, co stanowi prawie 25 proc. ogólnej liczby zatrudnionych w przemyśle węglowym.

W kopalniach trwała nienotowana przez statystyki codzienna, uparta, dramatyczna walka pomiędzy robotnikiem i przedsiębiorcą.

***

Z tym nierozwikłanym problemem Anglia rozpoczęła wojnę. W ciągu pięciu lat wojennych sprawa ta rozważana była i dyskutowana, jak nigdy przedtem. Tym razem zbyt blisko zagrożone było bezpieczeństwo państwa. Po całym szeregu kryzysów, rząd zdecydował się na objęcie kontroli nad przemysłem węglowym. Były to raczej apele i dyskusje, niż kontrola sensu stricto, ale stworzono przecież Coal Production Council i jej odpowiedniki terenowe.

Zaczęły się inne kłopoty. Ogromne absencje, brak ludzi zmobilizowanych, dalszy spadek produkcji, wzrost kosztów wydobycia. Zreorganizowano aparat kontroli i wreszcie w 1942 roku, rząd postanowił przejąć pełną kontrolę nad działaniem kopalń z tym, że dalsze decyzje zależą od parlamentu. Labourzyści i Związek Górników domagali się wtedy nacjonalizacji.

Okres wojenny, który te wszystkie skomplikowane problemy jeszcze bardziej skomplikował, był dotkliwą nauką. Rząd Labour Party dysponuje wreszcie programem, który pozwolił mu na użycie środków najbardziej radykalnych.

COAL PRODUCTION NATIONALISATION BILL.

Wspomniana wyżej ustawa, którą Jego Najdostojniejsza Wysokość Król przez swój Rząd przedłożył Izbie Gmin ma stworzyć możliwości rozwiązania tych problemów.

„Przy istnieniu własności prywatnej", pisał „Times" 8-go listopada 1944 r., „ostateczne rozwikłanie tych problemów jest niemożliwe. Doszło do tego, że robotnicy są zniechęceni i nieprzyjaźni w stosunku do swego przemysłu, tak bardzo, że niezależnie od rodzaju propozycji co do płac i warunków pracy, jakie by im teraz robiono nie odzyskają nigdy zaufania, jak długo przemysł nie zostanie przejęty przez państwo".

Państwo więc wzięło na siebie ciężki obowiązek równoczesnego zaspokojenia wielu interesów. Ceny węgla nie mogą pójść w górę, ponieważ jak się okazuje na wzroście cen węgla traci najbiedniejszy konsument więcej niż sześć pensów na funcie, równa się to więc powszechnej redukcji płac. Równocześnie płace robotnicze muszą utrzymać się na dotychczasowym poziomie, a w każdym razie na przeciętnej dość wysokich zarobków wojennych (6 funtów 10 szyl. tygodniowo w lecie 1944 r. i 3 f. 1 sz. w 1938).

Wielkich wkładów kapitału będą wymagały nowe wiercenia i ulepszenia starych. W przybliżeniu oblicza się je na 50 do 75 milionów funtów. Chodzi przede wszystkim o zmechanizowanie wydobycia i przewozu węgla.

Wszystkim tym, według projektu ustawy zajmie się National Coal Board, który od prywatnych przedsiębiorców przejmie własność wszystkich istniejących kopalń, prawo wiercenia nowych, fabryki koksu, elektrownie i inne zakłady dostarczające

opału. Board składa się z dziewięciu członków mianowanych przez Ministra Paliwa i Energii (Fuel and Power). Ustawa zastrzega tylko, że mają to być wysoko wykwalifikowani fachowcy w zakresie administracji i techniki wydobycia węgla, nie precyzując ściśle regulaminu działania Coal Board. Interpretatorzy uważają, że cała instytucja powinna mieć swoje odpowiedniki terenowe a w ogóle powinna być możliwe najbardziej zdecentralizowana z obawy przed biurokratyzacją i słusznej zresztą tendencji oddania jak najdalej idącej inicjatywy fachowcom-technikom i Związkowi Górników. W każdej dyskusji parlamentarnej na temat węgla, mówcy przypominają, że węgla nie wydobywa się w Londynie, tylko w kopalniach, a podstawą skutecznego gospodarowania w kopalni jest pozostawienie swobodnej inicjatywy bezpośrednim kierownikom przemysłu w ramach ogólnego planu.

Na razie ustawa przewiduje stworzenie dwa Rad złożonych z przedstawicieli konsumentów przemysłowych i domowych. Rady te będą miały prawo wydawania opinii i przedkładania wniosków. Płace regulowane będą wedle dotychczasowej procedury ustawowej z tym, że w miejsce przedstawiciela związku pracodawców wejdzie National Coal Board. „New Statesman and Nation" uważa, że jednym z głównych zadań nowego właściciela jest uczynić przemysł bardziej atrakcyjnym dla robotników, których ilość spadła w ciągu lat sześciu z 766 tysięcy do 697 tys., a 1/4 ogółu zatrudnionych ma powyżej 50 lat.

Bardzo szczegółowo ustawa reguluje kwestię odszkodowania. Będzie ono wypłacane w formie oprocentowanych bonów państwowych, których tak długo nie można spieniężyć na wolnym rynku, jak długo pozostają w rękach kompanii, a w ogóle posiadaczy innych niż jednostki. „Economist" bardzo się oburza na tę „monstrualną klauzulę" nazywając ją „zdumiewającym przykładem tyranii państwa", ale cel jej jest oczywiście zrozumiały. Wprawdzie ten sam „Economist" twierdzi, że „jeżeli pan Shinwell (Minister of Fuel a. Power) nie może zapłacić za kopalnie inaczej, jak przeszkadzając dążeniom pana Daltona (Ministra Skarbu) do taniego pieniądza, to powinni się ze sobą porozumieć, kto ma na kogo poczekać"; ale Związek Górników, który ma swoich przedstawicieli w Parlamencie wolałby w ogóle nie płacić odszkodowania, więc pewnie ta kompromisowa forma pozostanie.

Nacjonalizacja, podkreślają wszyscy, nie jest jeszcze sama przez się rozwiązaniem problemu, jest tylko stworzeniem możliwości takiego rozwiązania. Ważne jest, jak nowy właściciel wywiąże się z tej pierwszej, naprawdę trudnej próby realizacji prawdziwego socjalistycznego programu.

Hony soit qui mal y pense.

(Wg. „Economist", „New Statesman and Nation, Harold Wilson: „New Deal for Coal", Statistical Digest from 1938 on Coal, Sprawozdań parlamentarnych „Hauzard").

Maria Fiderer

ANDRZEJ JAN BACULEWSKI

Przeżyte formy wykształcenia ogólnego

1. KIEDY WYKSZTAŁCENIE OGÓLNE BYŁO ŻYWĄ IDEĄ

Wykształcenie ogólne znane już pedagogice hellenistycznej, na której oparła się średniowieczna teoria siedmiu sztuk wyzwolonych, szczególnie rozwinął okres humanizmu w idei wszechstronnego rozwoju człowieka. Nowoczesne formy otrzymało ono dopiero na początku XIX stulecia, kiedy rozumiane było głównie jako przygotowanie do studiów wyższych. Wyrażało wówczas skrajne tendencje indywidualistyczne. Zadaniem jego było, w ramach ówczesnej ideologii liberalistycznej, wychowanie członków elity społecznej, wolnych od walki i udręczeń codziennego życia i przygotowanych do udziału w dobrach kultury, jakie przechowała tradycja. Przez tradycję wykształcenie neohumanistyczne sięgało do świata starożytnego, który uważało za najważniejsze źródło kultury współczesnej.

Stąd zamiłowanie do języków klasycznych i starożytnej literatury. Dopóki trwały warunki społeczne, umożliwiające istnienie elity duchowej, której wykształcenie potrzebne było do zaspokojenia wyłącznie potrzeb duchowych, dopóty mogły być żywe ideały wykształcenia ogólnego.

W drugiej połowie wieku XIX po reformach J. F. Herbarta załamała się szkoła ogólnokształcąca zarówno w swoim programie, jak i ekskluzywności społecznej. Pod wpływem zmienionych potrzeb życia zaczęły powstawać szkoły realne, które wprowadzały w nauczanie więcej elementów nowoczesności, jednocześnie młodzież nowych klas społecznych, rozrywając kręgi elitarne dawnej szkoły, coraz mniej wykazywała wrażliwości i zrozumienia dla literackiego i filologicznego jej charakteru. Szkoła ogólna weszła w stadium kryzysu.

Obecne gimnazja i licea ogólnokształcące, noszące resztki strzępów neohumanistycznej tradycji, i szkoły zawodowe – typowe produkty rozwoju techniki i współczesnych przeobrażeń społeczno-gospodarczych – stają się przeciwstawnymi biegunami programów nauki, metod nauczania i celów wychowawczych współczesnej pedagogiki i są jednocześnie ośrodkami tworzenia się odmiennych tendencji kulturologicznych, różnych postaw poznawczych i przeciwstawnych celów społecznych.

Odkładając rozważenie celowości istnienia obecnych szkół ogólnokształcących, do stosownej pory, należy omówić pokrótce problem wykształcenia ogólnego. Walor tego rodzaju wykształcenia był wielki wówczas, kiedy spełniało ono rolę ważnego czynnika w przystosowaniu ludzi do ówczesnych form życia. Rodzaj tego przystosowania i charakter potrzeb społecznych w zakresie wykształcenia ogólnego zilustrować może „Pygmalion" Bernarda Shaw'a. Wykształcenie ogólne, które otrzymuje tam dziecko ulicy, jest konieczne do współżycia w ramach społecznej elity, traci jednak wszelki sens i wartość poza tymi potrzebami społecznymi.

Do połowy XIX wieku wykształcenie traktowane było jako przygotowanie do życia w kręgu zamkniętej elity społecznej.

I w naszych czasach wykształcenie ogólne nie nawiązuje łączności z życiem społeczno-gospodarczym i pozostaje w dalszym ciągu przywilejem wybranej elity.

Gdy jednak tradycja społeczna i pedagogika ciągle jeszcze odwołują się do tych form wykształcenia, należy bliżej rozpatrzeć ich walory i związki ze współczesnymi ideałami kultury i życia społecznego.

2. OSOBOWOŚĆ – IDEA CZYNNA WYKSZTAŁCENIA OGÓLNEGO

Istotę wykształcenia ogólnego stanowi jego związek z kształceniem osobowości. Polega ono na kształtowaniu całości duchowej struktury człowieka i wdrażaniu osobowości do czynnego udziału w tradycji kulturalnej. Są to założenia pedagogiki personalistycznej, jak i pedagogiki kultury. Jej podstawy filozoficzne opracował Wiliam Stern. Punktem wyjścia jest tu rozróżnienie osoby i rzeczy.

Kategorie te wyodrębnia Stern w oparciu o teorię poznania Kanta. Na tej podstawie filozofia personalistyczna przyjmuje istnienie osoby, jako elementarnego składnika rzeczywistości społecznej, głosząc, że prawa, dotyczące osoby, są najistotniejszymi prawami humanistycznymi.

Ale tak określone znaczenie osoby nie jest „przekładalne" na język empirycznej socjologii, która pojęciu temu nie nadaje takiej ważności.

Przyjmując, że istnieje przedmiot biopsychiczny jako wyodrębniająca się w naturze jednostka, personalizm zajmuje stanowisko naturalistyczne. Wysuwając osobę ludzką na pierwszy plan w zagadnieniach kultury, personalizm musi przyjąć postawę indywidualistyczną i założyć, że wychowanie osobowości jest najważniejszym zadaniem kultury. Jeden i drugi pogląd jest trudny do przyjęcia. Wynikałoby bowiem z niego, że związany ze środowiskiem biologicznym i wytłumaczalny w stosunkach społecznych przez naturę swoich skłonności psychicznych, człowiek jest jednocześnie najistotniejszym elementem kultury nie tylko z tego względu, że on sam stanowi ów niepowtarzalny świat wartości humanistycznych, ale, że warunkuje ich istnienie. Nie warunki społeczne zatem określają miejsce i znaczenie człowieka, ale człowiek warunkuje otaczający świat.

3. ZERWANIE Z RZECZYWISTOŚCIĄ

Ideał wykształcenia ogólnego, wiążący istnienie osobowości z koniecznością negacji obiektywnej rzeczywistości kulturalnej, jest w warunkach dzisiejszego rozwoju nauk społecznych, trudny do zrozumienia. Ale spróbujmy. By znaleźć właściwie dobrany klucz do tajemnic personalistycznej filozofii, warto skorzystać z opinii S. Hessena, według którego pojęcie wykształcenia w pedagogice współczesnej łączy się „z uznaniem autonomii ducha, tj. z uznaniem tego, że życie ducha posiada własne prawa, odrębne od praw bytu społecznego lub psychicznego"[1]).

Jest to więc koncepcja idealistyczna. Niezależność ducha przywiązana do osobowości jako jej ontologiczny atrybut, stawia jednostkę poza prawami, które określają jej znaczenie w stosunkach z rzeczywistością materialną. A przecież rozwój nauk czegoś nas nauczył. Co to znaczy autonomia ducha poza prawami bytu społecznego? W transpozycji na stosunki społeczno-gospodarcze oznaczać ona może całkowitą izolację jednostki od prądu życia zbiorowego. Trzeba stwierdzić, że jaskrawo wysunięty postulat autonomii duchowej umieszcza tę koncepcję w abstrakcyjnej próżni. Któż by z nas nie chciał hodować takiego ducha zwłaszcza na własny użytek? Ale jak to pogodzić z warunkami społecznej i gospodarczej rzeczywistości, której prawa mniej podniosłe – rzeczywiście – ale bardziej elementarne, bardziej zobowiązujące i niemożliwe do zrzucenia w ustroju, gdzie obce są kontrastowe poziomy standardu życiowego i kultury. Idealiści, zapatrzeni w rozwój ducha nie widzą zależności tego rozwoju od konkretnych warunków bytowania ludzkiego, nie dążą do wyzwolenia człowieka z zależności materialnej, wyzysku, wojen i rewolucji. Pedagogika personalistyczna czuje się wolna od jakichkolwiek związków z istniejącym układem warunków życiowych.

„Osobowość jest absolutem w stosunku do każdej innej rzeczywistości materialnej lub społecznej – pisze René Monier w „Manifeście o personaliźmie" – i względem każdej innej osobowości ludzkiej. Nigdy nie może być uważana za część całości: rodziny, warstwy, państwa, narodu i ludzkości. Żadna inna osoba, a tym bardziej żadna zbiorowość, żaden ustrój nie mogą jej prawowicie używać jako środka. Bóg nawet szanuje jej wolność".

Wymowa społeczna tych wyznań jest przerażająca. Jednostka, tak wychowana, musi być obca potrzebom życia społecznego, a może być nawet wobec nich wroga, jeśli zostanie naruszona jej integralność duchowa.

Zarzuca się marksistom, że rozpętują nienawiść wśród ludzi, wprowadzając pojęcie walki klas. Jak poznać, że personalizm rozbudza miłość w człowieku, jeżeli występuje ona w tak zwyrodniałej postaci. Psychologia, na którą powołuje się personalizm, nie zdradza nam tajemnic, jak oczyścić duszę człowieka z jadów nienawiści w oparciu o niezależnego ducha. I widzimy bezradność osobowości ludzkiej wobec konfliktów własnej duszy i wobec antagonizmów społecznych.

Stąd wniosek, że opieranie systemu wychowania współczesnego na personaliźmie jest zawodne. Wykształcenie ogólne jako nieograniczony rozwój osobowości w gruncie rzeczy jest psychologiczną mistyfikacją i spekulatywną grą hipostaz.

4. OKREŚLONE DZIAŁANIE CZY OGÓLNA ORIENTACJA?

Powszechnie rozumie się wykształcenie ogólne jako ogólną orientację w życiu, a jednocześnie jako czynnik kształcący poczucie odpowiedzialności człowieka. Spodziewa się również, że przez wykształcenie ogólne zdobędzie człowiek świadome kryterium wartościowania, rozumiane jako świadomie sformułowany światopogląd normatywny.

Są to postulaty, które ostatnio sformułował A. B. Dobrowolski[2]) w odniesieniu do potrzeb wykształcenia ogólnego inteligencji, jako grupy zawodowej ludzi dorosłych. Tutaj interesuje nas młodzież szkół średnich i postulaty powyższe omawiamy o tyle o ile dotyczą one wykształcenia ogólnego w szkole średniej. Ogólna orientacja o życiu jest młodzieży w wieku szkolnym konieczna i potrzebna o tyle, o ile umożliwia przygotowanie tej młodzieży do życia społecznego i do najistotniejszych zadań, które stają przed każdym młodym pokoleniem: tj. umiejętnego sposobu pomnażania materialnych i kulturalnych dóbr. Nic tak nie pociąga myśli młodzieży, jak rola twórczych budowniczych i zdobywców opornej rzeczywistości, nic tak nie rozwija całej jej osobowości, jak efektywne dokonania w ramach własnych możliwości realizacyjnych i umiejętności pracy, opartej na taktycznych kwalifikacjach. Pedagogika i psychologia mówią, że nie wolno zabijać w młodzieży ideału własnej osobowości, której siłę i twórczą projekcję rozwija działanie. To też podstawowym zadaniem szkoły musi być związanie wykształcenia młodzieży z przygotowaniem do działalności praktycznej. Jak wiadomo, żadna forma działalności współczesnej, ani gospodarczej ni społecznej, nie może istnieć bez wysokiego stopnia kwalifikacyj zawodowych, a także bez orientacji w naukowych podstawach zawodu, jego związku z całokształtem życia zbiorowego, bez umiejętności ciągłego doskonalenia się w zawodzie i konieczności pogłębiania swoich wiadomości z innych dziedzin. Wiele elementów tego procesu doskonalenia się osobowości nie jest ściśle związanych ze stanowiskiem społecznym i funkcją zawodową. Ogólna więc orientacja w dziedzinach które stanowią odrębny kierunek wykształcenia i zawodu jest potrzebna. Ale jądrem wykształcenia młodzieży jest niewątpliwie zawód, rozumiany jak najszerzej, jako narzędzie losu człowieka i jego współudział w postępie zbiorowym.

Wykształcenie ogólne musi mieć oznaczony wymiar w programie wykształcenia szkolnego, musi być pomocne w zasadniczej linii rozwojowej młodzieży, ale nie może paczyć jej planu życiowego.

5. CO KSZTAŁCI POCZUCIE ODPOWIEDZIALNOŚCI?

Zagadnienie poczucia odpowiedzialności człowieka w gruncie rzeczy nie może być ściśle wiązane z jego wykształceniem. Tym bardziej nieporozumieniem jest wiązanie go z wykształceniem ogólnym. Poczucie odpowiedzialności w pewnych dziedzinach w większym stopniu wyrabia wykształcenie specjalne (np. poczucie odpowiedzialności bakteriologa wobec źródeł infekcji lub epidemii) i zawodowe (np. poczucie odpowiedzialności konstruktora za przydatność i należytą wytrzymałość konstrukcji mostowej).

Odpowiedzialność intelektualną daje praca umysłowa o charakterze badawczym. Ale także wszystkie inne formy i poziomy wykształcenia. Odpowiedzialność społeczną niewątpliwie najsolidniej wyrabia związek jednostki z określoną grupą społeczną, działalność zawodową i wszelkie inne formy doświadczeń. I odpowiedzialność ta rośnie w miarę powiększania się znaczenia społecznego jednostki, ważności społecznej jej funkcji, a nie na skutek rozszerzania wykształcenia. Rzecz oczywista, że wykształcenie nie przeszkadza, wprost przeciwnie, wzmaga poczucie odpowiedzialności. Ale nie ono kieruje jednostką wobec przymusu decyzji, kiedy ma wybrać śmierć lub zdradę towarzyszy, odrzucić zysk, czy okraść kolegów.

6. BEZBŁĘDNA DZIAŁALNOŚĆ

Dla oznaczenia prawdy potrzebne są kryteria prawdziwości, dla oznaczenia wartości potrzebne są kryteria wartościowania. Wiąże się to z pojęciem norm postępowania.

Bezbłędna działalność ludzka jest trudna, lecz odwoływanie się do wykształcenia, jako jej jedynego źródła, jest intelektualistyczną jednostronnością. Wykształcenie w oderwaniu od konkretnych potrzeb społecznych nie tworzy norm, które by eliminowały z pracy naszej błąd. Formy kształcenia, które mają doskonalić nasz umysł, same przez się nie rozwiązują trudności postępowania. O normach postępowania i naszym normatywnym światopoglądzie decyduje nie wykształcenie, lecz wychowanie i działalność praktyczna.

Ale dla uzasadnienia swego postępowania i zamiarów człowiek musi czerpać jakieś przesłanki z rezerw umysłowych. Czy jednak rezerwy te i ich najwyższa wartość tkwią w wykształceniu ogólnym? Działalność ludzka nigdy nie jest tak wszechstronna, by musiał istnieć nieograniczony zakres nauk, z których trzeba mu w jego działalności korzystać. Zwykle zajmujemy się jakąś określoną sferą działalności i wykształcenie swoje pogłębiamy wokół wybranej dziedziny pracy lub zainteresowań. Zwykle jakiś jeden system kulturalny nabiera w naszym życiu dominującego znaczenia i dokoła tej części naszej osobowości, która się zorganizowała przez nasz udział w tym systemie, grupują się inne. Każda dziedzina działalności wymaga pewnych pomocniczych wiadomości z pokrewnych dziedzin, potrzebnych do realizowania głównych celów wybranej dziedziny. Każda dziedzina specjalna wymaga uzupełnienia, specjalny kierunek pracy i zainteresowań wiąże się w nieunikniony sposób z poznaniem pokrewnych dyscyplin. Chcąc przyswoić zespół norm, wynikających z różnych nauk i sfer działalności, trzeba rozszerzyć naszą wiedzę z jednej dziedziny na dziedziny pokrewne.

Rozszerzenie to, będące pomocniczym zabiegiem w stosunku do głównego ośrodka, wymaga wykształcenia dodatkowego, które wobec podstawowej dyscypliny specjalnej, musi posiadać charakter bardziej ogólny. W tym znaczeniu istnieje wykształcenie ogólne. W tym znaczeniu może ono sprzyjać rozwojowi normatywnego światopoglądu.

Warto by jednak przy tej okazji spytać, co jest podstawą wykształcenia, a więc i owego światopoglądu, który ma od niego zależeć.

---

[1]) S. Hessen: O sprzecznościach i jedności wychowania, Warszawa, 1939.

[2]) „Odrodzenie" nr 49, z dnia 4.11. 1945 r. A. B. Dobrowolski: Sprawa wykształcenia ogólnego inteligencji.

Rozrost nauk i zasobów kultury odpowiedział na to już dawno. Podstawą tą jest dyscyplina specjalna, której rozwój wymaga wykształcenia ogólnego. Transponując ten problem na teren szkolnictwa średniego, trzeba by stwierdzić, iż rozbicie programowe tej szkoły wg wymagań specjalizacji, a zwłaszcza związanie jej z różnorodnymi dziedzinami praktyki, byłoby właściwą podbudową dla wyrobienia zespołu norm postępowania, jeśli mamy mówić o wpływie szkoły na kształtowanie się światopoglądu normatywnego.

7. ROZBIEŻNOŚĆ MIĘDZY PSYCHOLOGIĄ A IDEĄ WYKSZTAŁCENIA OGÓLNEGO

Przypisywanie wszystkich powyższych czynników jako walorów wykształcenia ogólnego nie podważa, lecz przeciwnie utwierdza przekonanie o jego jednostronności.

Idea wykształcenia ogólnego czerpie częściowo swoją siłę z założeń psychologicznych, które opierają się na istnieniu tzw. „ogólnej" inteligencji. Ta ogólna inteligencja ma być ośrodkiem dyspozycji osobowości i stanowić rodzaj kategorii o charakterze wrodzonej idei. Ma być również najistotniejszym czynnikiem każdej pracy umysłowej.

Ale koncepcja „ogólnej" inteligencji jest równie nie do przyjęcia, jak idea jednostronnego wykształcenia ogólnego. Dziś w psychologii nie mówi się o ogólnej inteligencji, lecz wyodrębnia się jej różne rodzaje. A więc istnieje inteligencja matematyczna, tak typowa dla młodzieży uczęszczającej do szkół zawodowych i występująca u niej niemal równolegle z inteligencją praktyczną, która przejawia się w zorganizowanej i celowej aktywności. W inteligencji praktycznej wyodrębnia się specjalny rodzaj sprawności umysłowych, które otrzymały nazwę inteligencji technicznej. Niezależnie od tego nie trudno rozpoznać inteligencję językową szczególnie silnie charakteryzującą umysłowość młodzieży szkół ogólnokształcących.[3]).

Nie twierdzimy, że istnieją jakieś wrodzone a przeto niezmienne typy inteligencji, lecz, że występują one w różnorodnej postaci. Kontemplacyjny ideał osobowości byłby najbardziej związany z bierną inteligencją wytrawnego znawcy dzieł sztuki i myśliciela lub dłubacza bibliotecznego i biurowego pedanta. Ideał społecznego wychowania musi wykazywać samorzutną inteligencję działacza, dla którego wyczuwanie form stylistycznych i struktur gramatycznych języka wiąże się z formami poprawnego myślenia i służy uzasadnianiu myśli i czynu. Ale istotą osobowości społecznej jest to, co jest istotą inteligencji: przydatność do urabiania rzeczywistości pozaosobowej, a więc także organizowanie warunków rozwoju osobowości.

Psychlogia odrzuca pojęcie ogólnej inteligencji, a typologia skłonności umysłowych prowadzi raczej do wniosku, iż istnieją specjalne rodzaje inteligencji, które określają specjalny kierunek sprawności umysłowych. Czy tym specjalnym rodzajom sprawności odpowiadają bardziej formy wykształcenia specjalnego, czy ogólnego? Psychologia zdaje się przemawiać za wykształceniem specjalnym. Pedagogika musi wyciągnąć z tego konsekwencje.

8. SOCJOLOGICZNA INTEGRACJA OSOBOWOŚCI

Pojęcie ogólnej inteligencji wiąże się również z pojęciem osobowości jako nowej idealnej rzeczywistości kulturalnej, jednolitej i całostkowej struktury duchowej. Między tak pojętą osobą, a inteligencją ogólną jest oczywista zbieżność. I tu i tam istnieją owe punkty ogniskowe, które stanowią jakby metafizyczny rdzeń osobowości, tworzącej niepodzielną całość. Jak jednak jest w życiu społecznym? Człowiek, jako członek grupy, wchodzi w krąg oddziaływań różnych systemów kulturowych, które tworzą w osobowości jego bardzo wiele odrębnych powiązań i częściowych układów. Na gruncie psychologii nie pozwalają one ująć osobowości ludzkiej nie tylko jako jednolitej struktury psychicznej, ale nawet w zakresie jakiegoś jednego nurtu duchowego uniemożliwiają stwierdzenie jakiejś harmonijnej jedności Nasze życie uczuciowe jest porwane według różnorodności bodźców, poznanie nasze jest fragmentaryczne i poszczególne fragmenty wiedzy nie wiążą się w logiczny system, chociaż wykazują nieraz pewną ciągłość rozwojową. A jeśli ze wszystkich różnolitych układów można wydzielić jakiś kompleks, to tylko w jakiejś jednej dziedzinie. Swiadomość nasza jest rozdarta, osobowość nie znajduje oparcia ani w inteligencji ogólnej, ani w żadnym innym podłożu duchowym. Przeto ani na drodze psychologicznej, ani metafizycznej, jeśli mają one pozostawać w związku z danymi doświadczenia, jedność osobowości nie jest do osiągnięcia.

Istnieje jednak rodzaj integracji, która pozwala ująć osobowość ludzką w zorganizowaną jedność i system całościowy. Płaszczyzną, na której odbywa się to scalenie, nie są ani jakości zmysłowe, stanowiące rzekomą jedność psychologiczną przeżyć świadomych indywiduum, ani żaden rodzaj rzeczywistości idealnej, mającej być ogniskiem skupienia duchowej struktury. Podstawą, na której możliwe jest scalenie, stanowi wyczerpujący osobowość, jako strukturę kulturową, zespół relacji ze środowiskiem, będącym związkiem systemów kulturalnych, a w pewnym przecięciu osób i rzeczy. Jeśli istnieje jakaś duchowa wszechjednia, to tylko na łonie grupy społecznej.

Tak pojęta osobowość społeczna jest w swojej strukturze identyczna ze strukturą treści kulturalnych określonej grupy społecznej.

9. PRZEDMIOTOWY ROZPAD WYKSZTAŁCENIA OGÓLNEGO

Istnieje jeszcze jedno pojęcie wykształcenia ogólnego, wiążące się z istnieniem ogólnych tj. jednakowych we wszystkich programach przedmiotów. Takie wykształcenie ogólne, rzecz naturalna, od dawna już nie istnieje, właśnie w szkole ogólnokształcącej. To co pedagogika XIX wieku określała mianem wykształcenia ogólnego, miało swoje uzasadnienie na gruncie wykształcenia klasycznego, które było jednakowe dla wszystkich. Później ten sam charakter wykształcenia ogólnego posiadała szkoła średnia o encyklopedycznym zakresie programu. Obecna jednak szkoła ogólnokształcąca na wyższym stopniu przestała być szkołą ogólną, rozpada się bowiem na specjalne typy programowe: klasyczny, humanistyczny, przyrodniczy, fizyko-matematyczny, z których każdy realizuje zakres wykształcenia, stanowiący odrębną całość.

Trucizna specjalizacji rozkłada program szkoły ogólnokształcącej na wyższym szczeblu. Jedynie gimnazjum ogólnokształcące jest ogólne, jeśli weźmiemy pod uwagę jego niezróżnicowany w stosunku do liceum program. Ale o nie właśnie toczą się obecnie boje. Nadciąga fala reformy, która zmieni program całej szkoły średniej i zróżnicuje ją nie według potrzeb abstrakcyjnej osobowości, ale na pożytek życia gospodarczego, nauki i techniki, współczesnych funkcji społecznych i organizacji kultury. I nie ulękniemy się jej specjalizacji i uzawodowienia. Wyrobienie samodzielnego sądu młodzieży w stosunku do zjawisk życia zbiorowego, wykształcenie rozumienia procesów kultury i wdrożenie do wartościowania wytworów ducha i pracy jest osiągalne na tej drodze we właściwym wymiarze: jako ideologiczna świadomość uspołecznionej osobowości.

10. WYKSZTAŁCENIE OGÓLNE A STUDIA WYŻSZE

Przywilej szkoły ogólnokształcącej na wydawanie glejtu uprawniającego do studiów wyższych jest jeszcze jednym po przeszłości odziedziczonym rekwizytem. Wykształcenie ogólne jest rzekomo jedynym stopniem, umożliwiającym słuchanie wykładów w prosektorium i rozumienie początków gramatyki greckiej na filologii klasycznej. Swiadectwo szkoły ogólnokształcącej spełnia tu rolę obola w ustach greckiego nieboszczyka. Niektóre uniwersytety odważają się przyjmować na studia absolwentów szkół zawodowych, ale żądają od nich wymiany matur zawodowych na dyplomy ogólnokształcące. Z tego powodu absolwenci owi, uczęszczając już na wykłady, nie są immatrykulowani. Przeszkodą jest to i sztywny zakaz przedwojenny, ale niewątpliwie istnieje także świadoma negacja innych form wykształcenia, niż ogólne. Tradycja tradycją a braki wykształcenia humanistycznego, które stwierdzają profesorowie wyższych uczelni u absolwentów szkół zawodowych, muszą być uzupełniane na studiach wyższych w ramach wstępnych lat studiów, lub krótszych kursów uzupełniających. Albowiem przedwojenna selekcja jest eliminacją społeczną. Nie mamy zamiaru formułować jakichkolwiek zarzutów pod adresem uczelni wyższych, jest wszakże faktem, że tradycja wykształcenia ogólnego staje się często żywsza od wymagań pedagogiki, zobowiązań społecznych i potrzeb samego życia. Wielu spośród profesorów wyższych uczelni jest zdania, że wykształcenie ogólne stanowi najwłaściwszą podstawę studium wyższego i to nie tylko uniwersyteckiego, lecz także politechnicznego. Wartość szkoły ogólnokształcącej jako stopnia do szkoły wyższej polega na walorach jej przedmiotów tzw. ogólnokształcących. Przedmiotom tym przypisuje się niemal absolutną wartość. Gdy jednak zestawimy je z przedmiotami szkół zawodowych, okazuje się wtedy, że w obydwu typach szkół większość przedmiotów jest identyczna. Dlaczego wobec tego przedmioty te są doskonalsze w szkołach ogólnokształcących? Częściowo ze względu na różny zakres wiadomości i żywioł teoretyczny częściowo zaś w wyniku przesądów, jakie utrzymują się wokół szkoły zawodowej. Matematyka, fizyka, chemia w szkołach technicznych i chemicznych, geografia, biologia (zoologia, botanika, nauka o człowieku z higieną) i chemia w szkołach handlowych, ogrodniczych, gospodarczych i służby zdrowia, język polski, język obcy, historia w szkołach handlowych, graficznych, zecerskich, artystycznych, fryzjerskich, modniarskich są przedmiotami zawodowymi, ale ich walor ogólnokształcący nabiera dopiero tu wartości i właściwego znaczenia. Przedmioty te w szkole ogólnokształcącej są abstrakcyjne, pamięciowe, nudzą i wielokrotnie zabijają zainteresowanie. Całe wykształcenie ogólne zawisa w próżni z braku zastosowania, traci wszelką wartość wychowawczą. Kto kończył taką szkołę w okresie międzywojennym, zdaje sobie sprawę, jak mało była interesująca, jak mało kształciła inteligencję. Zdarzały się oczywiście jak wszędzie tak i tu wyjątki. Nie ratowały one przecież sytuacji. Egzaminy na uczelniach wyższych i ankiety w szkołach podchorążych w dostatecznej mierze wykazywały jej niski poziom. Mimo to cieszyła się i cieszy się obecnie uznaniem opinii społecznej.

11. OPÓR ŚWIADOMOŚCI SPOŁECZNEJ

Natomiast do szkoły zawodowej opinia ta odnosi się z rezerwą. Poza przyczynami, o których była mowa, szkoła zawodowa odpycha swoim związkiem z pracą fizyczną i przedmiotami technicznymi.

Praca fizyczna nigdy nie miała w naszych oczach uznania. Tradycje szlacheckie były zbyt silne, a dzieje biblijne (podstawa przecież naszej chrześcijańskiej kultury) nie mało również wniosły do niej wstrętu. Chrześcijaństwo traktuje pracę jako przekleństwo za grzech pierworodny. Dopełnia tego zespołu pojęć wykształcenie filologiczne i literatura starożytna (obecnie niewinne czytanki łacińskie), która z jednej strony uczy serwilizmu, z drugiej pogardy dla pracy jako sfery życiowej niewolników.

Podobnie nie wzbudza zaufania technika. Polska, jeden z najbardziej prymitywnie zagospodarowanych krajów, używająca narzędzi rolniczych z okresu Faraonów, cierpi na technofobię. Jedni widzą w technice zagładę kultury duchowej, inni zabójcze oddziaływanie na instynkty.

Nie istnieje żadna przeciwstawność między kulturą a techniką. Wydzieranie tajemnic naturze i wprzęganie jej w rydwan naszej cywilizacji jest najdumniejszym prawem człowieka. Technika jest owocem poznania mechanizmu świata i narzędziem wykorzystania go dla swoich potrzeb wszelkich, a więc i duchowych.

Dla losu ludzkiego nie ma odwrotu z drogi rozwoju technicznego, jak nie ma powrotu na łono natury. Ratunek naszej cywilizacji ma według sentymentalistów zależeć od powrotu do bardziej pierwotnych form gospodarki, cywilizacja techniczna bowiem zabija w człowieku siłę odporną wobec warunków bytu i odbiera poczucie szczęścia.

Przy takich sformułowaniach mogłoby się wydawać dziwne tylko to, że w niektórych dzielnicach Warszawy powróciliśmy do bardziej naturalnych warunków życia, mimo to nie przynosi to szczęścia. Instynkty zaś, które przy tym się ujawniają, nie budzą w ludziach pragnień, by rozwinęły się powszechnie. Niechęć, jaką odczuwają ludzie wobec techniki, ma nie tylko filozoficzne podłoże. Działają tu także przyczyny społeczne. Opór świadomości społecznej wobec techniki staje się jednak coraz mniejszy. I tylko tam, gdzie przesądy są jeszcze silniejsze od świadomości życia, postęp, który przynosi technika, może budzić zastrzeżenia.

12. NOWE IDEAŁY WYKSZTAŁCENIA

Postęp techniczny, podobnie jak postęp społeczny jest warunkiem naszego narodowego istnienia. Bez rozwoju technicznego nie ma rozwoju gospodarczego, bez rozwoju gospodarczego przestajemy być realnym czynnikiem życia zbiorowego w Europie. Rozwój techniki jest jednym z najbardziej pilnych naszych zadań. W przekonaniu o tej konieczności musimy wychować młode pokolenia. Jesteśmy więc znowu przy szkole zawodowej. Związek jej z techniką jest oczywisty. Do wydobycia się z opóźnienia cywilizacyjnego szkoła zawodowa przyjść musi koniecznie z pomocą. Konserwatyzm różnego autoramentu, który widzi jej błędy, nie dostrzega jej walorów. Przy niewielkich poprawkach programowych szkoła ta uzyska wszystkie zalety szkoły ogólnokształcącej. Ale tylko te zalety byłyby w obecnym stadium naszego rozwoju bez wartości. Szkoła zawodowa przynosi nadto nowe formy współczesnego wykształcenia i wnosi nowe wartości do kultury.

A. J. Baculewski

[3]) Por. Dr. Janiny Budkiewicz „Wpływ wychowawczy szkoły zawodowej w świetle materiałów psychologa szkolnego". Drukowane w „Szkole Zawodowej" Nr 1, w wydawnictwie ZNP Warszawa, wrzesień – październik 1945.

Z prasy angielskiej

Wszystkie najważniejsze czasopisma angielskie wypełnione są głównie informacjami i rozważaniami czysto politycznego typu, wśród których przeważają tematy, odnoszące się do polityki ogólno - światowej, zewnętrznej. Jest to ogromnie dziś charakterystyczne, a przyczyny posiada — prawdopodobnie — dwojakie: Pierwsza, dość prosta, wiąże się ze zmianą, jaka zaszła w mentalności angielskiej na skutek przeżytej wojny, a wyrażającej się dalekim już odejściem od atmosfery izolacjonizmu. Druga przyczyna, praktycznie głębsza, leży w niemal gorączkowym niepokoju Anglii o swą pozycję w świecie, która mocno skurczyła się i osłabła.

W rezultacie wewnętrzne sprawy społeczne i gospodarcze mniej zaprzątają myśli publicystów. Co prawda jest to trochę dziwne, jeżeli się zważy, w jak ciężkiej sytuacji gospodarczej znajduje się teraz ten kraj i z jakim samozaparciem i planowością dąży do wyjścia z impasu. A tymczasem prawie zupełnie się tych spraw nie omawia.

Ciążą nad szpaltami czasopism sprawy „wielkiej polityki". W opozycyjnej prasie konserwatywnej przeważa ton niechętny w stosunku do Związku Radzieckiego i do tych wszystkich państw, które prasa ta uważa za jego „satelitów", lub choćby za jego przyjaciół. W prasie lewicowej dużo się mówi o Organizacji Narodów Zjednoczonych i o powszechnej współpracy, która może być poprzez tę instytucję osiągnięta. Między wierszami prześwieca tu w tej dziedzinie nadzieja, że oparcie się o ONZ wzmocni pozycję Wielkiej Brytanii na terenie światowym.

Ale są też ciekawostki z własnego, wewnętrznego podwórka. Socjalistyczny tygodnik „Tribune" zwraca uwagę na zasadzone na nowo przez Mossleyowców roślinki faszyzmu. „Pierwsze powojenne pismo faszystowskie — czytamy — debiutowało w drugiej połowie [illegible]nia. Ukazało się, z nadrukiem „poufnie", 3000 egzemplarzy dwutygodnnika „The Plain Speaker", który ma być przeglądem zagadnień współczesnych. Wydawcy tej nowej publikacji twierdzą z uporem, że ich polityka nie jest w żadnym sensie faszystowska. Jednak pilne przestudiowanie zamieszczonych tam nowin bieżących — pisze dalej Tribune — zmusza nas do konkluzji, że — jak bardzo wielu innych ludzi — są oni faszystami, sami o tym nie wiedząc. Twierdzą oni oczywiście, że nie mają żadnych konfliktów z żadną z istniejących partii. Jednak ostrza ich piór kierują się przeciw socjalistom — „tej klice, która dąży do upadku kraju i Imperium" — [illegible] przeciw konserwatystom — „którzy nie potrafią zrobić nic więcej, jak tylko mruczeć na socjalistów". O Związku Radzieckim mówi się w każdym prawie artykule, wznawiając starego straszaka w postaci „bolszewickiego planu rewolucji światowej". Natomiast przestrzega się czytelników przed konsekwencjami jakiegokolwiek mieszania się w akcję skierowaną przeciw reżimowi generała Franco, który to reżim, według poglądów dwutygodnika „The Plain - Speaker" — „nie zagraża i nie wadzi nikomu".

Ale zupełnie już wychodzi szydło z worka, gdy „The Plain Speaker" porusza sprawę żydowską, gdy pisze mianowicie, że „jesteśmy pewni, iż dymisja Generała Morgana wymuszona została przez światowe żydostwo, przez tę potężną, niewidzialną siłę, ogarniającą świat".

„Tribune" pisze dalej: „The Plain-Speaker" wypowiada się w sprawach polityki nie tylko negatywnie. Pismo to wierzy, że coś innego, niż partyjne i świadomie akceptowane doktrynalne różnice dzielą ludzi w czasach obecnych. We wszystkich obozach politycznych ludzie oczekują odpowiedzi na pytanie, którego istota nie jest im jasna jeszcze. Ale gdy ta odpowiedź padnie — prawoskrzydłowi socjaliści i postępowi ludzie z innych partii na pewno znajdą wspólny język.

Wydawca i redaktor pisma „The Plain-Speaker" — Mr H. B. Kerby — wyjaśnia, że ma na myśli utworzenie „pewnego rodzaju partii centrowej", która, obok innych rzeczy, zajęłaby się sprawą niebezpieczeństwa, płynącego ze strony Związków Zawodowych. Co do osoby pana Kerby, to kandydował on w generalnych wyborach jako liberał, nie posiadając dosyć pieniędzy na to, aby kandydować jako konserwatysta. Obecnie twierdzi, że jego znakomity dwutygodnik doznał poparcia ze strony „osób na bardzo wysokich stanowiskach".

Przy tym wszystkim twierdzi pan Kerby, że ani on, ani jego pismo nie mają nic wspólnego z jakimkolwiek faszyzmem.

Demaskując ten świeżo (choć nie po raz pierwszy) zasadzony na ziemi angielskiej faszystowski kwiatek — dodaje socjalistyczna „Tribune" ironicznie: „Być może, że w obecnych powojennych czasach faszyści znajdą dla siebie jakąś inną nazwę".

J. Ż.

W poprzednim numerze (8) „Kuźnicy" z dnia 4 marca 1946 r.: **Mieczysław Jastrun** – Tematy współczesne. **Wanda Żółkiewska** Fragmenty z pamiętnika. **Adam Szaff** – Uspołecznienie przemysłu. **Juliusz Żuławski** – U malarzy polskich w Londynie. **Aleksander Ford** – O filmie polskim i jego krytykach. **Roman Werfel** – Jeszcze o emigracjach. **Jan Kott** – Droga do realizmu. Prace Akademii Umiejętności – **St. Żółkiewski** Na wielkiej fali – „Żywy embrion ludzki w probówce". – **Jerzy Barski.** Nowe wydanie „Krzyżaków – **Henryk Ulaszyn** Rozmaitości – W zamczysku spuszczają mosty – **Adam Ważyk.** Korespondencja. Przegląd prasy – ph. Noty.

Dyskusja w Klubie Pickwicka

W Klubie Literatów Łódzkich, znanym pod nazwą „Klubu Pickwicka" odbywają się dyskusje organizowane przez Oddział Łódzki Związku Literatów i grupę „Kuźnicy". Tematem pierwszej dyskusji była „Elektra" Giraudoux, wystawiona na Scenie Poetyckiej Teatru Wojska Polskiego. W Klubie Pickwicka zebrali się literaci, plastycy, publicyści, reżyserowie i artyści Teatru Wojska. Wśród gości był obecny Prezydent Miasta Kazimierz Mijal. Dyskusja nie została zakończona, dalszy jej ciąg wyznaczono na następny tydzień. Oto w skrócie według stenogramu najciekawsze wypowiedzi.

Stanisław Ryszard Dobrowolski.

Chciałbym, aby ta dyskusja odbywała się w atmosferze całkowitej szczerości, dlatego na początku muszę podać kilka wyjaśnień. Do dziś dnia teatr Wojska Polskiego uchodzi za najlepszą scenę w Polsce. Ja wciąż uważam ten teatr nie tylko za teatr wojska, którym prawie nie jest, ale przede wszystkim za teatr w Łodzi (głos z sali — którym także nie jest) ale którym być powinien.

Obecnie jest wspaniała okazja do przewentylowania polityki repertuarowej Teatru Wojska Polskiego. „Elektra" taka, jak ją oglądaliśmy, jest wspaniałym widowiskiem. Dzisiejszy wieczór będzie hołdem dla jej reżysera, dla jej kierownika artystycznego, dla jej wykonawców, dla jej personelu technicznego. sztuka jest doskonale zagrana, pięknie wystawiona, ale... powstaje kwestia natury kulturalnej. Czy należało właśnie „Elektrze" poświęcić tyle pracy i środków? Pozwolę sobie opowiedzieć anegdotę.. W roku 1939-40 dostałem się do niewoli niemieckiej, do oflagu. Gdybyśmy poprzestali na wyżywieniu niemieckim, byłby głód taki, jaki jest obecnie głód teatru w Polsce. Ratował nas Czerwony Krzyż. Przysyłał paczki, których zawartość wszystkim dobrze jest znana, bo są to dzisiejsze paczki UNRRA. Trochę dżemu, jakieś rodzynki, trochę czekolady, mleko w proszku, kawa. Oczywiście niektórym oficerom to smakowało, zwłaszcza kawa, ale był tam batalion strzelców i postanowiłem się zapytać co oni myślą o tych paczkach Czerwonego Krzyża. „Słuchajcie Góra, powiadam do jednego plutonowego, co wy myślicie o tych paczkach". „I... panie poruczniku, żeby to był chleb, szmalec, boczek, ale to są przysmaczki nie dla nas". Uważam, że użycie tego zestawienia nie jest pozbawione sensu. Coś się w tej Polsce zmieniło w ciągu ostatnich lat, a jeśli się nie zmieniło, to chcemy aby się zmieniło. Jeżeli zmiany zaszły w warunkach gospodarczych, politycznych i społecznych, to chcielibyśmy, żeby znalazły swój wyraz w życiu kulturalnym.

Wiele osób, usłyszawszy moją opinię, powie: nie, moi kochani, tak nie wolno, przecież jest inteligencja, są ludzie sztuki i t.d. Zapytuję czy wolno budować życie kulturalne od wierzchołka do dołu, wówczas kiedy dół jeszcze nie stoi? Czy można sobie wyobrazić architekta, który by stawiał kościół zaczynając od postawienia wieżyc, kiedy nie ma dachu i na łeb kapie, to jest problem.

Leon Pasternak:

Każda sztuka ma swoją tendencję i swój wyraz polityczny. W „Elektrze" istnieje abstrakcyjne sumienie świata, a przecież abstrakcyjnego sumienia świata w rzeczywistości nie ma. Sztuka Giraudoux, napisana przed wojną była pod pewnym względem sztuką prorocza. Giraudoux widział zbliżający się petenizm we Francji i chciał mu się przeciwstawić. Tymczasem przeniesiona na grunt polski, sztuka ta może wytworzyć w umysłach inteligentów tylko jakieś straceńcze fikcje. Między sceną a widownią powstają rozmaite nieporozumienia. Reżyser popiera Elektrę, jako abstrakcyjne sumienie świata, a tymczasem, kiedy wróg zbliża się do Argos i grozi zagładą jedności, sympatia widza przechyla się na stronę Egistosa. Przyznajemy mu rację — porzućmy spory, potem będziemy się prawowali, ojczyzna ginie. Problem, który podczas wojny był dla nas wszystkich aktualny. Nie można powiedzieć, że to problem wyłącznie dla inteligentów. Sympatia jest po stronie Egistosa, a tutaj właśnie jak wydaje mi się, reżyser zupełnie celowo uwypukla abstrakcyjne sumienie świata, podkreśla straceńcze słowa o oczach umarłych narodów. Wybór sztuki, który we Francji byłby zupełnie naturalny : właśnie w takiej inscenizacji, u nas jest niefortunny.

Wanda Żółkiewska.

Wróciłam z teatru zasugerowana pięknością obrazu. Ale czułam przez cały czas w teatrze jakąś głęboką przykrość, że czegoś nie rozumiem i że ktoś mnie jakoś, mówiąc brzydko, nabiera, zwłaszcza w zakończeniu sztuki. Bo takich ludzi, jakich zobaczyłam, żebraków społecznie skrzywdzonych, myśmy się napatrzyli w ostatnich latach. Ci ludzie w ostatnim obrazie stoją z wyciągniętymi rękami, z kikutami rąk, nareszcie są szczęśliwi! Dzisiejszy widz niepokoi się — jakto? Oni są szczęśliwi, kiedy ojczyzna zginie? Na to odpowiadają mu ze sceny, że ginie Argos, a to jest właśnie „świtanie". Do dzisiejszego widza ten typ obrazu nie przemawia.

Halina Kowalska (Dziennikarka).

Może pan Wierciński i pan Korzeniewski mieli ten punkt widzenia, który Elektrę, oblakaną psychopatkę, i całą sztukę czyni znamieniem sztandaru do walki z kolaboracjonizmem. Jeżeli się tę sztukę czyta, dochodzi się do wniosku, że może należałoby tego wieczoru nie zastanawiać się nad ideologią i tak wiele się w niej nie dopatrywać. Boy powiedział kiedyś o literaturze francuskiej, że to symbioza mózgu i płci. Mózg pokazano, nie pokazano nam płci, dlatego nie mamy obrazu całości. Przed wojną wystawiano u nas „Judytę" Giraudoux, gdzie nastąpiło odbrązowienie historycznej tragiczności i w rezultacie pokazano nam paradoks. I tutaj postacie, które z punktu widzenia tragedii greckiej i w koncepcji reżysera powinny być potężne, cieszą się sympatią. Czy może nie za poważnie każe nam brać sztukę pan Wierciński i pan Korzeniewski?

Leon Schiller.

Teatr oddycha, gdy jest w ten sposób atakowany. Przed wojną nieboszczyk Kaden i Zawistowski nie pozwalali na to, więc żadnej dyskusji na te tematy być nie mogło. Obecnie możemy sobie swobodnie podyskutować. Znam genezę teatru poetyckiego — w czasach konspiracyjnych nazywał się teatrem eksperymentalnym. Rozumieliśmy, że taki teatr jest potrzebny. Skąd więc powstają zarzuty? Widać byłoby z tego, że teatr Wojska Polskiego w ogólnej swojej działalności nie spełnił należycie swego zadania. Ale przecież cała dziedzina teatralna jest poniekąd w zaniedbaniu, dopiero zaczniemy robić porządek. Mam nadzieję, że powstanie rada teatralna, która będzie walczyła o to, żeby mieć prawo do odpowiedzialności za to co się na tym odcinku dzieje. Ja się nie dziwię, że przy całym szacunku jaki państwo mają dla pracy aktorów, powstaje zaniepokojenie, to samo mogło także powstać z okazji wystawienia innej sztuki np. „Lilli Wenedy". Kolega Wierciński jest jednym z największych naszych pedagogów i potrzebował atelier dla studiów poczynionych z uczniami. Niemniej nie dziwię się, że to wzbudza niepokój. I to jest dobrze.

Więc jak powiedziałem, wina jest w tym wszystkim, co się dzieje, niestety dzieje się gorzej, niż dziać-by się mogło. Bo ktoś czegoś nie dopatrzył, ktoś zrezygnował, ktoś nie chciał się wtrącać i mieszać do tego chaosu. To powtarza się na wszystkich odcinkach życia teatralnego. Uważam, że nie może istnieć taka organizacja jak Z.A.S.P., która wlecze atmosferę zatęchłą w sensie ideologicznym i artystycznym. Ten stan trwa, trwa i na innych odcinkach życia polskiego. Wszyscy odczuwamy nowe nurty, nic też dziwnego, że jest taki odbiór. Giraudoux jest trudny, choćby z tego powodu, że ukazuje się w przekładzie. Kiedyś miałem 3 miesiące czasu na wystawienie „Judyty". Otóż na próbach musiałem się uciekać do czytania tekstu oryginalnego, aby wydobyć ze sztuki styl właściwy dla Giraudoux na pół ironiczny, lekki, prozę, która nabiera cech poetyckich. Rozmawiałem z Giraudoux w Paryżu, usłyszałem od niego znamienne zdanie: „Nie rozumiem co to jest inscenizacja — tragedia i dramat, to nie opera". My wiemy, że inscenizacja nie istniała w teatrach dworskich. My wiemy, że historycznie biorąc, zjawiła się dopiero w epoce romantyzmu. Koncepcja klasycyzmu francuskiego nie zna „inscenizacji". Ale my jesteśmy, jak mówi Giraudoux, trochę szekspirowscy. Styl francuski to spokój, prostota, potoczność, przy kompozycji kostiumów bardzo łagodnych zresztą. Otóż my nie umiemy zagrać Giraudoux tak jak trzeba, nie umiemy dać dobrego tonu komedii francuskiej. Nie odczuwamy literackich wartości tego rodzaju. To wszystko się transponuje na zupełnie inne tony. Giraudoux za najgorsze sztuki uważał te, gdzie trzeba zmieniać sytuację i w ogóle, kiedy jest za dużo ruchu, za dużo efektu, lubił tylko czysty dialog. To co mnie wydawało się statyczne, dla niego było już dostatecznym ruchem. I tak zawsze będzie, wszystkie próby przeniesienia klasycyzmu francuskiego nie udawały się, tak jak Francji nie udało się przyswoić sobie Szekspira. Mamy wielu autorów, których trzeba grać i jeśli tylko teatr potrafi zadokumentować, że spełni należycie swoje obowiązki, należy pokazać wszystko, nie ma pot zeby niczego zatajać. Katastrofa Mejerholda w Rosji wyglądała dla zachodu fatalnie, z bliska ta sprawa wygląda inaczej. Ktoś odebrał mu rozum, bo to co robił, inaczej wytłumaczyć się nie da. Z reguły odrzucał wszystkie sztuki traktujące o aktualnych problemach politycznych. Kiedy był przekonany, że Rosja Sowiecka ustaliła się, powiedział — teraz jest spokój, mogę powrócić do komedii. Sam się wykreślił z życia. Stanisławski co innego. Ten na swoim jubileuszu powiedział: nauczcie mnie tej rewolucji. Nauczył się i umiał to jakoś pogodzić i jest największym reżyserem sowieckim. My w Polsce dążymy do stworzenia lepszego teatru. Trzeba teraz wiele wybaczyć, bo mamy chaos, bezplanowość, dużo się robi głupstw, za które cierpi teatr wojska Polskiego i kolega Wierciński.

Bohdan Korzeniewski.

Chciałbym wyjaśnić dlaczego „Elektra" była pierwszą, a nie drugą sztuką w teatrze poetyckim. Jest to teatr studyjny poświęcony pracy reżysera, aktorów, zespołu teatralnego nad kształtowaniem pewnych form. Układając program mieliśmy na uwadze przede wszystkim to, co może dać aktorom każda z tych postaci, aktorom którzy chcą zdobyć własny swój odrębny wyraz.

Sama „Elektra" jest dziełem niezmiernie skomplikowanym może dlatego, że na dnie poety i to wybitnego poety siedzi bardzo wytrawny i wżyty w tradycje francuskie racjonalista, tworzy pewne złudzenia a później rozwiązuje je w sposób niezbyt prosty. To nie jest dzieło z jakimś kluczem. Taka zagadkowa postać Klitemnestry wyjaśnia się figlem. Giraudoux z uśmiechem podsuwa błahą interpretację. Otóż to dzieło nosiło w sobie szereg interesujących zadań, przede wszystkim dla aktorów.

Adam Ważyk:

O ile mi wiadomo, pan Wierciński jeszcze przed wojną nosił się z myślą wystawienia „Elektry". Wydaje mi się, że ludzie teatru natknęli się na pytanie zupełnie dla nich niespodziane: dlaczegoś wybrał tę sztukę? To jest znamieniem naszych czasów — nikogo nie zadowoli odpowiedź, że ta właśnie sztuka była potrzeba dla wewnętrznego życia teatru. Dzisiaj ludzie sztuki patrzą nie tylko na scenę, ale i na widownię, obchodzi ich społeczne oddziaływanie teatru.. Otóż ten nastrój musi podziałać na ludzi teatru, którzy nie stykali się z innymi środowiskami, zamknięci w swoim warsztacie. Zebraliśmy się tutaj aby mówić o sztuce Giraudoux. mam wrażenie, że boimy się powiedzieć, w jakich szatach chodzi ten król. Niektórzy myślą sobie, że ten król jest nagi, nie, ten król nie jest nagi, ale szaty nie są tak imponujące, jak sądzi pan Korzeniewski, który napisał w programie bardzo wiele rzeczy wyjaśniających tę sztukę. Wskazał na podstawową myśl Giraudoux — jakoby w biegu historii zjawiali się ludzie, którzy domagają się ukarania zbrodni i powodują nowe zbrodnie. Taka jest podstawa tej tragedii. Ale jest rzeczą ważniejszą, czy ta myśl ma odpowiednik w rzeczywistości. Czy jak powiedziałby Stefan Żółkiewski, jest adekwatna z rzeczywistością. Nie, ta myśl nie jest adekwatna i mija się z rzeczywistością. Wcieleniem tej myśli jest postać Elektry. Wyłania się też sprawa obrony miasta. My dzisiaj, po tej wojnie, traktujemy tę sprawę, jako sprawę obrony ojczyzny. Wyłania się konflikt między tą myślą i wyrosłą na niej ideą sprawiedliwości integralnej a obroną ojczyzny. Czy ten konflikt jest adekwatny z rzeczywistością, czy takie konflikty istniały? Nie istniały. To wszystko jest grą pojęć, którą układa sobie idealista, i nie jest ważne czy robi to poważnie, czy frasobliwie, czy wesoło. A dalej okazuje się, że Elektra, która jest oczywiście wcieleniem sumienia, czy też integralnej sprawiedliwości, ta Elektra znajduje matkę w kobiecie Narses. Szkoda, że dopiero w końcu sztuki! Kiedy przewali się wszystko, nastąpi świtanie dla żebraków, dla ludu. To wszystko, co się dzieje, ma znaczenie symboliczne. Okazuje się, że Argos nie jest Argosem żebraków. Tak samo jak „Galileae vicisti" w Nieboskiej nie zadowoli ideowego katolika, bo jest przybudówką, bo nie wynika z przebiegu sztuki, tak samo nikogo z demokratów nie zadawala takie czysto symboliczne rozwiązanie u Giraudoux. I to jest ta sprawa bolesna, o której mówiła pani Wanda Żółkiewska. Nie mamy zaufania do tej całej gry symbolów, nie zgadzamy się z układem myśli i pojęć. Mówiono tu o „Judycie". Jeżeli te dwie sztuki porównamy, to zobaczymy, jak bardzo „Elektra" jest rozbita w konstrukcji. Przede wszystkim wielokrotnie zaznacza się w sztuce, że to jest teatr. Dalej, Eumenidy z góry dają nam treść tej sztuki. Jest i bóg żebrak. U Eurypidesa zjawiają się bogowie na końcu, aby rozplątać losy ludzkie. Tutaj bóg zjawia się na początku po to, aby nie brać udziału w sprawie. Jest to bóg deistów, ale zmienił się od czasu deistów, w 1937 stał się bogiem drwiącym. Otóż Grecy starożytni, kiedy pokazano im bogów, wiedzieli jaka jest ich kompetencja. Kompetencja tego boga żebraka, który obcuje z przyrodą i z ludem, jest nieokreślona, zmienna, dowolna. Do połowy drugiego aktu jest on obserwatorem detektywem, chce dojść prawdy jak Elektra, a pod koniec opowiada co się dzieje za sceną. Kompetencje jego się zmieniają. I to również świadczy o rozbiciu konstrukcji. Nie będę wspominał orła czy sępa, który się zjawia, nie będę wspominał o motywie żony sędziego, równoległym do dramatu Klitemnestry, ukazującym ten dramat w zwulgaryzowaniu życia codziennego. I o wielu rozmaitych brelokach, którymi ta sztuka potrząsa. Ale wnosząc z tego wszystkiego, sztuka jest rozbita w swojej konstrukcji. Czyżby ludzi teatru pociągały te efekty, które wynikają z rozbicia? Nie jest to dekompozycja przypadkowa, idzie ona w parze z zamętem myśli i aluzji politycznych.

Czy możemy powiedzieć, że postacie takie jak Elektra i Egistos reprezentują pewne układy idei, które odpowiadają jakimś poglądom z roku 1937? Nie możemy tego powiedzieć. W każdej postaci mieszczą się jakieś idee, poglądy, aluzje polityczne, ale tak są nieuporządkowane, że żadna z tych postaci nie prezentuje określonego stanowiska ideologicznego. Tam są szczątki idei, tam są odłamki aluzji. Wielu widzów irytowała

Małe Eumenidy „Elektra" akt I.

Scena z aktu II „Elektra".

kwestia sprawiedliwości integralnej. To przecież podczas Rewolucji Francuskiej mówiło się o bezwzględnej sprawiedliwości, równości i cnocie bezwzględnej. To było decorum Rewolucji Francuskiej, jej nadbudowa ideologiczna, toteż ja postać Elektry traktuję poczęści jako wnuczkę Robespierra. Trzeba sobie zdać sprawę, jak Francuzi przejmują swoje tradycje. Widzą w takim Robespierze fanatyka bezwzględnych idei, który rozpętał domową mordownię, widzą w Rewolucji Francuskiej krwawą anegdotę, ale i zarazem wielkość ludu, który dzięki takiej rozprawie choćby miał zginąć, „zgasłymi oczami" będzie promieniował przez stulecia. Z reminiscencji Wielkiej Rewolucji pochodzą te dziwne rzeczy, które mówi Elektra, kiedy już jej brak argumentów. Giraudoux, jak zresztą cała inteligencja mieszczańska przejmuje wielkie tradycje niekrytycznie i niedialektycznie i w 1937 r. operuje szczątkami tej ideologii (używam tego słowa w sensie Marxa) i tego decorum, za którym w czasach Wielkiej Rewolucji kryła się konkretna treść społeczna, a dzisiaj już jej nie ma. Teraz widzimy dlaczego to pojęcie sprawiedliwości łączy się symbolicznie z ludem. Miał rację reżyser Wierciński, że wsadził czapkę frygijską na głowę kobiecie Narses. Ale to znowu tylko symbol. Na tej kanwie symbolów rozpięte są rozmaite aluzje polityczne z roku 1937. Nie starczyło autorowi wątku klasycznego, żeby te aluzje polityczne pomieścić i tym się po części tłumaczy dlaczego właściwie treść antycznej tragedii przesunęła się poza margines, dlaczego nastąpiło rozbicie konstrukcji. W pierwszym akcie Egistos mówi o sztuce rządzenia. On nie uśmierca manifestacyjnie, on krzyżuje w dolinach po cichu. Sfery rządzące ówczesną Francją parlamentarną oczywiście używały innych metod niż dyktatura faszystowska, ale w aluzjach Egistosa jest coś więcej: duch nieinterwencji, atmosfera izolacji, tworzenie wysepki, unikanie rozgrywki. Następnie okazuje się, że Egistos nie jest godny tego, żeby miasta bronić. To był wyrok wydany przez Giraudoux na sfery rządzące Francją. Giraudoux przeciwstawia im to, co mógłby nazwać duchem Rewolucji Franc. mógł nazwać duchem Rewolucji Francuskiej. Giraudoux już w kilka lat po pierwszej wojnie w powieści „Zigfried et Limousin" przewidział pewne formy duchowe *odradzania* się imperializmu niemieckiego. Giraudoux był wrogiem Niemiec i przewidział nową wojnę. Ale w świetle doświadczeń tej wojny wyczuwamy, że w sztuce, w jej aluzjach brak podstawowego czynnika historycznego. Szło przecież o aktywność ludu francuskiego, a tego nie zastąpi żaden bóg-żebrak. Otóż dobór elementów nawet symbolicznych i dobór aluzji politycznych jest niedostateczny. Sądzę że reżyser nie brał tego pod uwagę, zapatrzony w nęcące go możliwości pracy teatralnej. Tymczasem od roku 1937 zmieniło się usposobienie widowni. Dla dzisiejszego widza ciężar gatunkowy tych spraw jest znacznie większy niż zdawało się tym, którzy nad tą sztuką pracowali.

Nowy program „Syreny"

Do ciekawych wniosków prowadzić może obserwowanie drogi rozwojowej teatrzyku „Syreny". Pierwsze przedstawienia przy całym ubóstwie środków, niedoświadczeniu i nieudolności technicznej świadczyły jednak o jakichś próbach poszukiwania nowej drogi, choćby pozorów wyjścia poza krąg tematów mieszczańskiego kabaretu. Stopniowo poziom artystyczny się podwyższał, ale jednocześnie wszelkie istotniejsze ambicje malały. Przykład: „Plecy", wcale niezłe i dosyć zabawne widowisko, ale zupełnie już wyraźnie idące na zaspokojenie gustów drobnomieszczańskich.

Niestety, „Plecy" okazały się arcydziełem dobrego smaku i pomysłowości w porównaniu z ostatnią premierą. „Trzej muszkieterowie", widowisko muzyczne pióra Z. Gozdawy i W. Stępnia, są jaskrawym przykładem trywialności, płaskości, świadectwem zupełnego braku jakiejkolwiek inwencji. Co gorsza, przedstawienie jest piekielnie nudne, przewlekłe, każdy dowcip powtarzany jest po dwa razy, może dlatego, że popisać się chciał każdy z dwóch autorów. Mamy tu dosłownie siódmą wodę po „Szpilkach", nieudolnie rozlaną i chwilami nieco cuchnącą. Scena na Dzikim Zachodzie jest po prostu obrzydliwa, widać jak autorzy w gruncie rzeczy delektują się szabrem, przyklaskują kanciarstwu, rozkoszują się sprytem oszustów. Efekt polityczny tej pseudo-satyry jest zupełnie wyraźny i niedwuznaczny, aż dziwne, że nie dostrzegli go łagodni recenzenci z Wydziału Kultury i Sztuki.

Czy warto mówić o wykonawcach? Co z tego, że Bielicka była doskonała i po raz pierwszy pokazała temperament na scenie? Co z tego, że Gosławska była urocza jak zawsze; że Gierasiński bawił samym swoim zjawieniem? Tancerki, które zastąpiły dawne girlsy, oprócz Janowskiej nie mają ani warunków zewnętrznych (nogi), ani nawet nie umieją tańczyć. Chórzyści natomiast wcale nieźli. Dekoracje poprawne, muzyka mierna. Rewia brzydoty!

„Chcieliście szmiry no to ją macie!" jk

Nowe książki

HALINA GÓRSKA
NAD CZARNĄ WODĄ
Łódź, „Książka", 1945, str. 188 i 4 nl.

Bardzo w porę przychodzi reedycja tej pięknej i miłej książeczki, której tendencją — jak pisała autorka w przedmowie — „jest nauczanie młodzieży szacunku dla moich poczynań i dla samej siebie"... Znajdziemy tu jednak poza tak skromnie określonym programem „tendencyjności", inne jeszcze, o wiele doniośliejsze myśli i idee: pochwałę żywego i czynnego altruizmu, interpretację rzetelnego patriotycznego uczucia, wiarę w człowieka, który godzien jest tego, by go ukochać rozumiejącym i przebaczającym sercem.

Bez moralizatorskich banałów i taniej dydaktyki opisuje Górska niedługie dzieje świetlicy dziecięcej na Czerniakowie, odsłania dusze, czyny i losy młodzieży z przedmieścia. Są to dzieci, które — wbrew pozorom — nie tylko umieją myśleć, lecz ponad to, wśród rozterki, zwątpień i wewnętrznych komplikacji próbują rozwiązywać niełatwe problemy społeczne i moralne. A rozwiązują je niekiedy w sposób, mogący służyć przykładem dla dorosłych i dojrzałych, bo — jak pisze Górska „nie ma Prawdy dla dzieci, Prawdy dla młodzieży, Prawdy dla dorosłych, Prawda jest tylko jedna"...

Młodość nie jest istotnie „jakąś szkółką elementarną", to też nie tępymi oczyma bakałarza, lecz jasnym i współczującym spojrzeniem mądrej przewodniczki ogarnia autorka swój „Zakon Błękitnych Rycerzy". Umie patrzeć na swych niesfornych pupilów, a z tego co w nich dostrzega potrafi wyciągnąć poważne i rozumne wnioski. Jeśli nawet spotkamy się gdzieniegdzie na kartach tej opowieści z pewnym nadmiarem literackości nie możemy o to wnosić pretensyj do pisarki, której całe życie, twórczość i śmierć męczeńska były jedną służbą ofiarną, jednym wielkim świadectwem oddania się sprawie *krzywdzonego i cierpiącego człowieka.*

bd

NOWA KSIĄŻKA WIKTORA

„Ożywcze krynice" Jana Wiktora (Książnica Atlas 1946, cena zł. 70), to rozpięty na 92 stronicach dialog Jana Wiktora ze „swym znajomym sprzed wojny" — jak mówi sam autor w przedmowie. Temat? — Chłop w Polsce i jego rola, literatura chłopska i literatura w ogóle.

W miarę czytania, widać jednak, że to Jan Wiktor rozmawia sam z sobą. Rozmowa jest długa i niepozbawiona cech przebrzmiałego patosu.

Zaczyna się tak: „Zbliża się czas walki, kiedy trzeba będzie wytężyć wszystkie siły, napiąć wolę, zrość się z Polską mięśniami, kośćmi, żyłami, aby wreszcie poruszyć ją z posad i pchnąć ku dziejowym przeznaczeniom, dla dobra wszystkich". Mesianizm kłóci się tu więc ze wspomnieniem tych czasów, kiedy patos zaczynało się słowami: „Idą czasy, których znamieniem będzie wyścig pracy... itd.".

Jest poza tym silna sugestia, że Jan Wiktor pragnie zmobilizować „front do chłopa" w Polsce, dialog jego bowiem zbyt mocno wykracza poza ramy artykułów publicystycznych, traktujących sprawę ludu wiejskiego, artykułów zresztą wysadzonych frazesami i — tu i ówdzie — czczym banałem.

U autora „Ożywczych krynic" można znaleźć uzasadnienie tego frontu między wierszami: oto przeżyło się już mieszczaństwo — zbyt przeindywidualizowane, by mogło stanowić bazę państwowo-twórczą, grunt na którym można by oprzeć przyszłą budowę. Ale tym gruntem jest chłop polski. I o tego chłopa walczy autor dialogu, zawierając oręż w formę pamiętnika z roku 1943. W dziełku tym, autor posuwa się jednak dość daleko: syntetyzuje idee i prądy nurtujące chłopstwo w czasie okupacji — w ten sposób stawia się w dość wygodnej sytuacji. Bo nie potrzebuje już aktualnie konfrontować się z rzeczywistością ludu polskiego, nie potrzebuje być wyraźnym i zdecydowanym. To przecież tylko było. Kiedy? W roku 1943. Jan Wiktor rozmawia z sobą samym.

Mimo to „Ożywcze krynice" stanowią bogaty materiał do dyskusji. Najpierw idzie tu o książkę dla ludu. Więc przede wszystkim rola pisarza. „Pisarz winien przełamywać przeszkody (jakie?), wdzierać się do izb zapomnianych, być bojownikiem i obrońcą". Bo jakiż pożytek miał lud z pisarzy dotychczas? Pisarz „wołał być pieśniarzem lupanarów, buduarów i mieszczańskich haseł".

Jan Wiktor słusznie mówi, że lud nie lubi czytać dzieł o swoim życiu, czego dowodem są „Chłopi" Reymonta, „Na skalnym Podhalu" Tetmajera i niemal wszystkie dzieła Orkana.

„Chłop najbardziej boi się wyśmiewania. Nieraz spotka go nieszczęście i nikomu nie zdradzi tajemnicy, nawet najbliższemu sąsiadowi, „boby miał ucieche i wyśmiałby się". W mieście spotykała go pogarda dla mowy, stroju, zwyczajów dla całego życia, dlatego też uważa, że Tetmajer jest wyśmiewca i szydzi z niego, przedrzeźnia jego gwarę. Chłop nie chciał siebie widzieć w zwierciadle pisarskim, bo się wstydził".

Na stronicy 24, Jan Wiktor jakoby przeczuwa „odchłopienie" wsi — „Ludzie na wsi w czasie wojny wiele przemyśleli — to już nie ta przedwojenna wieś. Twarda harówka długo jej nie utrzyma na ojcowskim zagonie. Co innego jej się marzy".

Te zmienione prądy naszej wsi winny znaleźć uwzględnienie w twórczości przeznaczonej dla niej. Bo chłop szuka książki, która nie byłaby tylko „rozrywką, zabawą, drażnieniem ciekawości zmysłów, ale musi uczyć, podnosić, rozwijać, uszlachetniać, porywać, pobudzać do myślenia i do czynu".

Oczywiście książka ma uczyć nie ucząc, uszlachetniać, ale nie moralizować itd. Od tego możemy przejść do sprecyzowania, zadań literatury w ogóle.

Winna ona „niweczyć płytkość, małość, budzić obrzydzenie do wszystkiego, co trzyma w błocie, co pełza w prochu. Pisarz kształtuje duszę czytelnika, wytycza drogi, stwarza idee, postacie, narzuca ich myśli i pragnienia".

Słusznie. Poza tym pisarz winien się starać odpowiadać na ciągłe ludzkie pytanie: „dlaczego?". Bogiem nie jest, ale niech odpowiedź na pytanie „dlaczego" probuje najbardziej zbliżyć do nieznanych praw. Dar wizji — to wielka rzecz.

Wyraźną walkę wydał autor „Wierzb nad Sekwaną", przy tej okazji tym czynnikom które w Polsce w dużym stopniu przyczyniły się do zagnieżdżenia się w psychice ludu fałszywych i błędnych kierunków, a przede wszystkim klerowi i szlachetczyźnie.

„Miecz Jagiellonów wyrąbywał potęgę, a Rzym rękami biskupów ją deptał krzyżem, aż spętał różańcem jej wielkość, a jezuici dokończyli dzieła, zepchnęli Polskę w zapajęczoną kruchtę. Czytajcie uważnie dzieje Polski, a tam znajdziecie dość potępiających zarzutów, dość druzgocących dowodów, choćby u tak zachowawczego historyka, jakim jest Bobrzyński. W życiu narodu, w codziennym życiu brak żelaznej woli w czynie, w walce z przeciwnościami, brak rozmachu w miłości i nienawiści, wszędzie bierność, dobrotliwość czy poczciwość graniczącą z głupotą, rozlewającą letnią wodę, snobizm, prywata, zamiłowanie do wygód, czekanie na cud, zapominanie o najżywotniejszych problemach, umysłowość bractwa różańcowego, klepiącego pacierze bezmyślnie, zanoszącego modły o łaskę — są wyrazem wiekowych dążeń po zabiciu żywotności Polski Jagiellonów przez obskurantyzm dewocyjny. Możni, syci, potężni kapłani, mieniący się sługami bożymi — uczyli w kościele ubóstwa wyrzeczenia się dóbr ziemskich — i to — kogo — nędzarzy nieraz nagich, bosych, głodnych. Życie doczesne jest niczym — wołali — marnością wobec życia pozagrobowego, więc nie dbaj o ziemskie potrzeby, módl się, a wszystko zdobędziesz, spełniaj religijne obowiązki, przystępuj do Stołu Pańskiego, a otrzymasz po śmierci wiekuiste szczęście. Wiedza jest pokusą diabelską, trądem i zarazą, kluczem do bram piekielnych, wystarczy ci różaniec lub książka do modlenia".

Jeszcze raz wykaże Jan Wiktor rolę chłopa na przestrzeni wieków polskiej historii. Zwiąże go z Bolesławem Śmiałym i Chrobrym i z Jagiellonami.

Niestety chłop nie wszedł w odpowiedniej proporcji do naszej literatury. I to jest wielka krzywda. Sprawiła ona, że przez wieki całe narastało w naszym ludzie przekonanie o tym, że jest nieważnym fragmentem życia, że jest raczej na jego peryferiach...

I jeśli możemy nadrobić te wiekowe zaniedbania — to niechaj literatura wyzwoli w swej treści odrębność psychiki chłopskiej. Nie znaczy to jednak, że trzeba ją „uchłopić" nie, należy ją tylko wzbogacić, bo w pierwszym wypadku byłaby tylko „przebieranką zapustową".

„Pisarz musi zejść do chłopa i robotnika przy warsztacie, iść z nimi w jednym szeregu w nowe jutro, w ten sposób tylko „rozprzestrzenimy dusze ludu i rozszerzymy potęgę Polski" — brzmi credo Jana Wiktora.

Z ciekawszych nut — to zestawienie Szeli z pradami wsi polskiej. „Wieś nie pójdzie za Szelą. Szela wziął w siebie poczucie niedoli ludu i jest wyrazicielem tego buntu, który się objawił w straszliwej nienawiści, młoda wieś zaś idzie w przyszłość z pragnieniem pracy, budowania i przetwarzania. Nie chce marnować sił na nienawiść i zemstę".

Trochę niepotrzebnie przewija się w tym pamiętniku ideowa nić mocarstwowości, niesłusznie wiążąc wizję nowej rzeczywistości polskiej z owym szumnym okresem haseł sprzed 1939 roku, okresem Ligi Morskiej i Kolonialnej. „Musimy bowiem — wg autora — wytężyć wszystkie przyrodzone siły i zdolności nie tylko po to, by zachować życie, ale wciąż stwarzać takie wartości, które by nas wyróżniły wśród narodów wschodu i zachodu i wyznaczyły należne miejsce na czele postępu".

Feliks Bąbol

Książki dla dzieci i młodzieży

Należy z zadowoleniem zanotować, że dawne zasłużone firmy wydawnicze wznowiły swoją działalność. Raz po raz ukazują się książki, które starannością wykonania niewiele ustępują przedwojennym, jakkolwiek dobrze wiemy wszyscy, z jak wielkimi trudnościami walczy cała produkcja wydawnicza wobec niedostatku papieru.

Zakłady wydawnicze M. Arcta wystąpiły na rynek księgarski z dwiema książkami: z małą wielobarwną książeczką dla najmłodszych pt. „W miasteczku Zapałkowie", Ewy Szelburg-Zarembiny z ilustracjami i objaśnieniami Jadwigi Bełdowskiej, oraz z powieścią dla dzieci starszych pt. „Wesoła Gromada" Janiny Porazińskiej.

Zbiorek „W miasteczku Zapałkowie" jest pomysłowym połączeniem tekstów poetyckich z przystępną nauką majsterkowania. Jak sam tytuł wskazuje, dzieci operować mogą najtańszym i najłatwiejszym do zdobycia materiałem, to znaczy pudełkami od zapałek. Wdzięczne, pełne prostoty wiersze E. Szelburg - Zarembiny na pewno będą jak zawsze ulubioną lekturą najmłodszych czytelników. Natomiast — wydaje mi się, że niektóre wzory zabawek są zbyt trudne, a w szczególności ich objaśnienia nie dość wyczerpujące. Wobec tego, że nie wszystkie dzieci mogą liczyć na pomoc dorosłych, stanowi to pewien mankament tej bardzo pożytecznej książeczki. A przecież właśnie dla takich dzieci „Miasteczko Zapałkowo" będzie najczęściej jeśli nie jedyną, to jedną z nielicznych własnych zabawek.

Czy nie byłoby wskazane na ostatniej stronie tego rodzaju zbiorków podać dokładny adres wydawnictwa i wystosować zapytanie do małych czytelników mniej więcej w takim sensie: „Napiszcie, jak wam podobała się książka i które z zabawek udało się wam wykonać?".

Zwyczaj ten, powszechnie stosowany w Związku Radzieckim, warto by było przeszczepić na naszą glebę. Nawiązanie bliższego kontaktu z czytelnikiem wyznaczyłoby drogi i cele tym, którzy pragną jak najlepiej pracować dla rozwoju książki w Polsce.

Powieść Janiny Porazińskiej pt. „Wesoła Gromada" jest przeznaczona dla dzieci starszych. Stanowi ona lekturę uzupełniającą dla klasy IV-ej szkoły powszechnej. Jako książka przedwojenna (jest to wznowienie) zawiera ona pewną ilość zagadnień i faktów jak na nasze formy życia całkowicie anachronicznych.

Wielka szkoda, że wydawnictwo nie zatroszczyło się o przeredagowanie poszczególnych rozdziałów i zastosowanie ich do nowych warunków życia. Niemniej bogactwo treści, żywy bezpośredni humor i piękna forma czynią ją zawsze interesującą.

Radości, trudy i kłopoty wesołej gromadki w wiejskiej szkółce, opisane przez autorkę z głębokim zrozumieniem psychiki dziecięcej, znajdą mocny rezonans wśród czytelników, zakorzeniając w młodych umysłach poczucie wspólnoty z gromadą, koleżeństwa i potrzeby rzetelnej pracy od najwcześniejszych lat.

Wydawnictwo J. Mortkowicza rozpoczęło swoją działalność powojenną wznowieniami książek dla młodzieży „Sławy" Janusza Korczaka i „Chłopców z placu broni" Franciszka Molnara w tłum. Janiny Mortkowiczowej, a wreszcie nowym utworem p.t. „Jak się wszystko zmieniło" Hanny Mortkowicz-Olczakowej. Dobór tych książek pod względem treści mówi sam za siebie.

„Sława" zasłużonego a nieodżałowanego pedagoga Janusza Korczaka jest wzruszającym wycinkiem z życia przedwojennej, zubożałej, drobnomieszczańskiej rodziny, gdzie dzieci w niedostatku i w walce o chleb zbyt wcześnie dojrzewają psychicznie, gdzie marzenia o nauce i sławie muszą pozostać niespełnione, lub karmić się okruchami, które spadają ze stołu uprzywilejowanych. A chociaż autor sam próbuje optymistycznie wierzyć, że z „dumnych zamiarów, górnych marzeń i dążeń do sławy coś zawsze zostanie", wiemy że te słowa jego dopiero dziś, w nowej socjalnej rzeczywistości, której Korczak nie doczekał, zaczynają nabierać istotnego sensu, stają się realne dla nowego pokolenia.

Druga z kolei powieść „Chłopcy z placu broni" Fr. Molnara, w bardzo czystym i pięknym tłumaczeniu Janiny Mortkowicz jest utworem z życia uczniów węgierskich. Wartość tej książki jest nieprzemijająca ze względu na jej założenia etyczne i zawsze aktualny dla młodzieży w wieku dorastania splot zagadnień, jak odwaga, honor, poświęcenie dla idei.

Utwór Hanny Mortkowicz-Olczakowej pt. „Jak się wszystko zmieniło" jest według autorki powieścią wierszem dla starszych dzieci.

Moim zdaniem trudno jest umiejscowić ten poemat w ramach jakiegoś określonego rodzaju literackiego. Przypomina on, sądząc po spokojnym, gawędziarskim toku narracji, utwory Syrokomli.

Nie jestem również pewna, czy utwór ten nie zyskałby na dynamice i ekspresji, gdyby był pisany prozą. Natłok zdarzeń, przemiany duchowe młodych bohaterów, duża rozpiętość czasu, w którym rozgrywa się akcja powieści, nieuniknione przy wierszowanej formie dłużyzny, a co za tym idzie monotonia niektórych fragmentów, wszystko to przemawiałoby za moją propozycją.

Pomimo tych zastrzeżeń powieść „Jak się wszystko zmieniło" jest bardzo interesującą próbą syntezy przeżyć trojga dzieci, wychowanych w dobrobycie i zaskoczonych niespodzianie konsekwencjami wojny. Autorka przez umiejętne stopniowanie przemian duchowych, zachodzących w dziecjach, doprowadza do momentu tuż przed wyzwoleniem. Lecz rodzeństwo zahartowane twardą szkołą życia nie dorasta jeszcze do zrozumienia wielkich prawd, gdyż młodzi bohaterzy nie wyszli z kręgu spraw domowych i rodzinnych. I dlatego końcowy akord książki, że trzeba budować „Z całej swej młodej siły, przez wszystkie przyszłe lata Dom Odrodzonej Wolności — Sprawiedliwego Świata", zanadto może odskakuje od kompozycji całej powieści.

Wanda Grodzieńska.

Odpowiedzi Redakcji

Zdzich. Łódź. — Audaces fortuna juvat. Może warto pracować.

M. W. Łódź. — Nadesłany przekład fragmentu „Eugeniusza Onjegina" nie bez zalet, na ogół jednak przekład Belmonta lepszy.

M. Miel. Bydgoszcz. — Wiersze konwencjonalne, nie do druku.

A. Kr. Warszawa. — Prosimy o dalsze próbki.

Rozmaitości

Walka z mętniactwem

Wbrew spodziewaniu między „Kuźnicą" a „Tygodnikiem Powszechnym" nie zawiązała się trwała polemika ideologiczna. Kanonada ponawia się co pewien czas i przycicha. „Tygodnik Powszechny" wyrzuca pociski coraz to mniejszego kalibru, felietonista Kisiel ratuje się bombami cuchnącymi, potrafi już tylko przyczepiać zohydzające epitety do nazwisk czy utworów literackich, albo zmyślać sobie niewydarzone anegdotki na mój temat. Szeroka polemika ideologiczna okazała się niemożliwością, bo nie ma w Polsce takiego ruchu katolickiego, jaki jest we Francji, nie ma nawet następców przedwojennej grupy „Verbum". Cóż pozostało „Kuźnicy"? Wychwytywać reakcyjne dąsy, klerykalne pretensje do reprezentowania tradycji narodowych, słowem, codzienna, szara robota demaskatorska.

Front przeciwnika jest nieustalony, nieuchwytny, przeciwnik osłania się mgłą. Mówię o życiu intelektualnym, ale istnieje nieprzypadkowa analogia z sytuacją w kraju, sianiem zamętu w życiu politycznym, wykrętnymi manewrami grup politycznych, które idą na korzyść reakcji. Piszą się na reformy dokonane, odżegnywują się od emigracji wewnętrznej, tylko że mają tysiąc i jedno zastrzeżenie jakoby natury ubocznej, tysiąc podrzędnych i jedno, które decyduje, że nie mogą się znaleźć we wspólnym nurcie postępu. Daremnie żądałoby się od nich wypowiedzi jasnej i konkretnej. Jasność i konkretność nie jest im miła. Sprzyja im natomiast zamęt w głowach inteligencji, gruz, który został po latach międzywojennych w życiu umysłowym, w dywagacjach filozoficznych, w sztuce.

Na odcinku intelektualnym front walki, prowadzony przez „Kuźnicę", siłą rzeczy zmienił się i rozszerzył. Domagając się jasności i konkretności w ujmowaniu wszelkich spraw czy to społecznych czy literackich, żądając naukowej kontroli wygłaszanych sądów, musimy prowadzić walkę z mętniactwem. Nie upraszczajmy sprawy, nie każdy mętniak jest świadomym przeciwnikiem. Najczęściej to tylko mimowolny siewca zamętu, który utrudnia usunięcie gruzu z głów inteligenckich. Mętniak mówi o współczesności tak, jak mówiono ćwierć wieku temu. Mętniak nie chce zrozumieć doświadczeń historycznych. Mętniak sądzi, że można wziąć „nadbudowę ideologiczną" z Marksa, „podświadomość" z Freuda, „przeżycie" z Macha, „irracjonalizm" z Meyersona i zbudować na poczekaniu własną koncepcję kultury, literatury i sztuki. Pobłażliwości dla mętniaków! Bo przecież mętniak najczęściej nie wie skąd pochodzą słowa, których używa w swojej gwarze. Mętniak nie wie, że słowo „passeizm" już w 1920 roku uchodziło za nieprzyzwoite wśród tych, którzy je wymyślili. W 1945 roku, w nieśmiertelnym mieście Krakowie odradza się to słowo jako probierz poezji i straszy biedną młodzież literacką, jak również uniwersytecką. Gdyby szło o stan umysłowy mętniaków, płakałbym nad ich losem, ale nam idzie o czytelnika, o młodzież, przez sześć lat oderwaną od normalnego trybu wykształcenia, więc tak łatwo podatną na mistyfikację. Niedawno bardzo zdolna studentka romanistyki prosiła mnie, żebym jej powiedział coś niecoś o „formizmie" francuskim! Kto ją do tego stanu doprowadził? Paryski lajkonik czy rodzimy mętniak?

Walka z mętniactwem sprowadza się z grubsza biorąc, do walki o sprawdzalność sądów. Żądanie ścisłej sprawdzalności naukowej w myśl postulatów Żółkiewskiego byłoby może zbyt wygórowane, mamy do codziennego użytku inne całkiem przydatne mierniki. Historia literatury czy malarstwa zawiera dość bogaty i różnorodny zasób nazwisk i dzieł, odpowiednim przykładem można łatwo obalić upraszczający sąd mętniaka, który w dziedzinie artystycznej zawsze odrywa się od rzeczywistego doświadczenia sztuki, podobnie jak w rozważaniach społecznych lekceważy sobie doświadczenie historyczne i praktykę społeczną. W dziesiątym czy jedenastym stuleciu w Bizancjum znakomity matematyk Psellus po wieloletnich rozważaniach obliczył, że obwód koła jest niespełna dwa razy większy od średnicy. Tymczasem każde dziecko bizantyjskie mogło nakreślić koło na piasku, posługując się choćby uschłą sękatą gałęzią i, przykładając sznurek obliczyć, że obwód koła jest przeszło trzy razy większy od średnicy.

Ten właśnie sznurek — to nasze minimalne wymagania.

ADAM WAŻYK

List otwarty

Do Zarządu Ogólno-Polskiego Związku b. Więźniów Politycznych niemieckich więzień i obozów koncentracyjnych.

I Ogólno-Polski Zjazd b. Więźniów Politycznych obradował głównie nad zadaniami i programem przyszłej działalności Związku. Niechaj wolno będzie i mnie dorzucić kilka refleksyj w tej sprawie (nie będąc delegatką, nie mogłam tego uczynić na samym Zjeździe) – w nadziei, że Zarząd zechce je wziąć pod uwagę.

1) Na rynku księgarskim ukazuje się coraz więcej publikacyj, poświęconych poszczególnym obozom koncentracyjnym. Publikacyj tych nie można traktować tylko tak, jak się traktuje zwykłe utwory literackie. Wartość ich zależy w pierwszym rzędzie od ich wierności historycznej, od tego, czy i w jakim stopniu odtwarzają one trafnie koszmarną rzeczywistość obozową. Czytelnik, który nigdy nie był w obozie (szczęśliwie są u nas jeszcze w Polsce i tacy), chce wiedzieć po takiej lekturze przede wszystkim to, ile jest w niej prawdy, a ile literatury lub blagi.– Czy Związek b. Więźniów Politycznych nie jest właśnie instancją najbardziej powołaną do informowania społeczeństwa o wartości dokumentarnej prac, poświęconych obozom? Czy nie byłoby wskazane, żeby przy Związku powstała jako jedna z jego agend – specjalna komisja, w której skład wchodziliby przedstawiciele poszczególnych obozów, a której zadaniem byłaby ocena takich prac z punktu widzenia ich wierności historycznej? Opinia tej komisji mogłaby być podawana do wiadomości publicznej np. w tygodnikach społeczno-literackich, lub nawet w prasie codziennej, względnie we wstępach do książek, o ile by autorzy lub firmy wydawnicze nadsyłały je do zaopiniowania przed wydrukowaniem.

Do zadań takiej komisji mógłby również należeć wybór publikacyj, nadających się do przetłumaczenia na języki obce, i ewentualne występowanie z inicjatywą w tej sprawie wobec odpowiednich czynników. Zagranica, która wciąż jeszcze nie wie, jak to właściwie było w niemieckich obozach koncentracyjnych, winna być informowana o tym możliwie dokładnie, ale w sposób rzetelny, bez fałszów i blagi. Dlatego zarówno odpowiedni wybór, jak i inicjatywa ze strony komisji wydają się tu wskazane.

2) Druga ze spraw, którą chciałam poruszyć, jest bodaj ważniejsza. Chodzi o rzecz następującą. Obozy koncentracyjne dostarczają mnóstwo niezmiernie cennego materiału do badań naukowych, nieosiągalnego w innych, mniej patologicznych warunkach. Jeśli go się nie pozbiera teraz – właśnie teraz, na gorąco, dopóki wszystko jest jeszcze względnie świeże w pamięci – będzie to strata nie do odrobienia. Znowu – czy Związek b. Więźniów Politycznych nie powinien wziąć tego w swoje ręce? Czy nie należałoby uruchomić natychmiast komisyj naukowych – mam na myśli komisję medyczną i psychologiczno-socjologiczną, bo z tych dziedzin jest chyba najwięcej interesującego materiału – które zajęłyby się zebraniem i ewentualnie opracowaniem odpowiednich danych?

Niejedną rzecz dla nauki ważną i ciekawą mógł podpatrzyć lekarz w czasie swej praktyki w „szpitalu" obozowym. Osobliwe eksperymenty „lekarzy" niemieckich (nie można bez zgrzytu nazwać lekarzami tych, którzy nie w leczeniu, lecz w uśmiercaniu bliźnich widzieli swoje zadanie) i tragiczne zwykle skutki tych eksperymentów; zmiany w organiźmie, które ujawniała każda prawie sekcja, a które związane były najwyraźniej ze specyficznymi warunkami obozowymi; przebieg i objawy chorób, niespotykane w warunkach normalnych; czynniki, wpływające w sposób dotąd nieprzewidziany na odporność i wytrzymałość organizmu itd. itd. Niechby więc sekcja medyczna zwróciła się z apelem do wszystkich lekarzy obozowych, naszych i zagranicznych, żeby nadsyłali swe obserwacje z praktyki obozowej, wnoszące coś nowego do dotychczasowej skarbnicy wiedzy. Samo zebranie takich obserwacyj miałoby wartość nie byle jaką.

Jeśli idzie o komisję psychologiczno-socjologiczną – ma ona olbrzymie pole do badań ankietowych. Można z góry przypuszczać, że badania takie rzucą nowe światło na cały szereg zagadnień z zakresu psychologii i nauk socjologicznych i że dostarczą także niejednej cennej wskazówki zarówno pedagogom, jak i organizatorom życia zbiorowego.

Dość było w obozach specjalistów z różnych dziedzin nauki. Znajdzie się też wśród nich niewątpliwie sporą ilość lekarzy, psychologów i socjologów. Im trzeba powierzyć zorganizowanie odpowiednich prac badawczych. To nic, jeśli prace te nie doprowadzą bezpośrednio do efektywnych syntez, ani do mocnych wyników. Wystarczy, jeśli pozwolą zgromadzić surowy materiał, który stać się może później punktem wyjścia do dalszych dociekań.

Powołanie ośrodków naukowych badających zjawiska związane z martyrologią w niemieckich obozach koncentracyjnych, byłoby poważnym wkładem Związku w całokształt prac nad poznaniem minionej, na szczęście, epoki!

Dr Janina Kamińska
Profesor Uniwersytetu Łódzkiego

Niemowlęta w walce

Przeczytałem artykuł p. Trzcińskiej-Kamińskiej pt. „Walka o dzieci" („Dziś i Jutro" nr 3) i – włosy zjeżyły mi się na głowie, a strach obleciał mą duszę. Więc wymieramy! Ginie naród polski, a przez cały czas, „gdyśmy maleli – nasi sąsiedzi rośli". I cóż będzie teraz,

„po tej wojnie, wobec szerzenia się neomaltuzjanizmu(?), ułatwiania poronień, wobec zniszczeń spowodowanych wysiedleniami i wobec wyginięcia mężczyzn".

A gdy jeszcze

„w okresie międzywojennym, w okresie tak zwanym Polski sanacyjnej nie tylko nas nie przybyło, ale ubyło pięć milionów".

Sprawa populacyjna jest zbyt poważna, aby ją sobie tak „po łebkach" traktować. Można walczyć o dzieci, proszę bardzo, ale skoro się walczy nie o swoje dzieci, a mówi o narodzie, o ogóle, o państwie – nie wolno się mijać z prawdą. I dlatego, w związku z tym pięciomilionowym ubytkiem, na początek parę cyfr. Sądzę, że Mały Rocznik Statystyczny z r. 1939 jest dosyć kompetentnym źródłem.

W latach 1895–1938 przyrost naturalny ludności w Polsce wynosił 16,5 milionów, z tego w okresie 1924–1938 6 (sześć) milionów. W latach 1918–1938 na 1000 mieszkańców przypadało w Polsce średnio 9 małżeństw, gdy w pozostałych państwach Europy (bez ZSRR) 7,6. W Polsce w tymże okresie przypadało na 1000 mieszkańców 30 urodzeń żywych, gdy w reszcie Europy zaledwie 22. I gdy w Europie przyrost naturalny wynosił w tym czasie przeciętnie 7,5 na 1000, to w Polsce 14 a w r. 1938 Polska z przyrostem naturalnym 10,7 stała na drugim miejscu w Europie po Holandii, wyprzedzając najpłodniejsze dotąd Bułgarię i Rumunię. Polska przodowała także w ilości młodzieży: żadne państwo w Europie prócz ZSRR nie mogło się poszczycić stanem posiadania 33% ludności w wieku do lat 14. Stwierdzam więc, że dane użyte przez p. Kamińską jako założenia artykułu są niezgodne ze stanem faktycznym. Ale, jednocześnie Polska wodziła prym w innych, bardziej smutnych dziedzinach: Na 100 urodzeń żywych było 14 zgonów, 10% młodzieży do 19 lat nie umiało czytać ani pisać, a przeciętne trwanie życia dochodziło ledwie do 49,8 lat, gdy w innych krajach ok. 55, nie mówiąc już o Anglii (60 lat), Niemczech (61) lat, czy Szwecji (64,3 lat).

Prawdą natomiast jest, że w Polsce jak zresztą i w całej Europie, przyrost naturalny począwszy od 1919 roku spadał. Badając jednak to zjawisko nie tyle o środkach antykoncepcyjnych o poronieniach i „samobójczej orgii samowyniszczającej akcji ukrytej pod różnymi humanitarnymi i sanitarnymi pretekstami" myśleć należy, ale o umożliwieniu kobiecie jej macierzyństwa i dziecku jego rozwoju. W Polsce przedwojennej tego nie było. Natomiast jeśli – jak w ZSRR – odpadają sprawy materialne, na skutek niebywale rozwiniętej sieci ochronek, żłobków, freblówek, ogródków jordanowskich i organizacji opiekujących się matką i dzieckiem, to wtedy tylko względy zdrowotne są wystarczającym i koniecznym czynnikiem dla przerwania ciąży.

Skoro się pisze o tak ważnych sprawach, jak populacja – unikajmy frazesów. Bo cóż znaczy (i to jeszcze rozstrzelonym drukiem): „Kołyski zwyciężają! Niemowlęta głoszą zwycięstwo!.. Dużo kołysek! Dużo dzieci! Armia niemowląt!", po których to wykrzyknikach autorka schodzi na tematy zbrojeń, i stara się udowodnić, że „dzieci oto są nasi istotni obrońcy!... Oto nasze wojsko umiłowane zawsze ochocze, zawsze bojowe, zawsze radosne i zawsze zwycięskie!.. Musimy wreszcie wyposażyć Polskę w sprzęt bojowy aktualny i nieprzedawniony: w kołyski i pieluszki!"

A jabym tam wolał, by niemowlęta nie zamieniały się w armie i by kołyski i pieluszki spełniały im przeznaczoną, a wcale nie bojową rolę. W każdym razie radzi jesteśmy, że „Dziś i Jutro" nie wierzy już w bombę atomową, a nawet karabin, szabla czy granat straciły już (dlań) swój wyraz mocy i swoją powagę siły. Za to widok niemowlęcia w ramionach matki, wózek z maleństwem, gromada rozbawionych dzieci daje nam dziwne uczucia nadziei..." Jednym słowem – Szwambrania! Wojny niemowląt, a więc rządy niemowląt, a potem niemowlęta na łamach gazet – ple ple ple. No, wielkiej różnicy nie będzie.

PS. Do powszechnej wiadomości powszechnym: O wpływie katolicyzmu na przyrost ludności. Pierwsze miejsce na świecie: Japonia i Egipt. Pierwsze miejsca w Europie: Holandia, a po Polsce Bułgaria i Rumunia. Ostatnie: Francja i Austria. Największy przyrost naturalny w Polsce: ludności wyznania prawosławnego. C. b. d. u.

PS. P. Trzcińska-Kamińska nie znając widocznie najróżnorodniejszych przyczyn przerywania ciąży, kładzie wszystko na karb „szatana, który jest kłamcą od początku, sugeruje bardzo liczne i bardzo niezbite argumenty przeciw prawu życia, on, książę śmierci i zniszczenia". Bardzobym chciał co prawda poznać zasugerowane przez szatana kobiety, jednak bez wskazówek p. Trzcińskiej nie sądzę, bym mógł natrafić na bliższe ślady książęco-szatańskiego kusiciela. To tylko powiem kobietom: Nie dajcie się, jeśli go spotkacie jakimś dziwnym przypadkiem, sugerować szatanowi, ale nie dajcie się również sugerować świętoszkowato-zaskrzepłym poglądom katolickich tygodników.

Mariusz Margal

MIECZYSŁAW JASTRUN

Rzecz ludzka

Poezje

Zł 65.–

Spółdzielnia Wydawnicza „Książka"

Wydawnictwa Spółdzielni Wydawniczej
„CZYTELNIK"

NIEZBĘDNE DLA URZĘDÓW I ŚWIATA PRAWNICZEGO

	CENA
GIEBUŁTOWICZ J. — Odpowiedzialność przestępców wojennych w świetle prawa narodów	zł 70.—
KODEKS KARNY. Prawo o wykroczeniach z przep. wprowadzającymi	zł 110.—
KODEKS PRACY, wg stanu prawnego z 1 maja 1945.	zł 120.—
KODEKS POSTĘPOWANIA KARNEGO wraz z przep. wprowadzającymi	zł 100.—
KODEKS ZOBOWIĄZAŃ	zł 160.—
NAMITKIEWICZ J., RAKOWER A. — Ustawa o majątkach opuszczonych i porzuconych. Komentarz	zł 180.—
POSTĘPOWANIE ADMINISTRACYJNE. Postępowanie przymusowe w administracji 1945.	zł. 60.—
REFORMA ROLNA. Przejęcie lasów na własność Skarbu Państwa	zł 30.—
PRAWO O AKTACH STANU CYWILNEGO	zł 50.—
SAWICKI J., WALAWSKI B. — Zbiór przepisów specjalnych przeciw zbrodniarzom hitlerowskim i zdrajcom narodu, z komentarzami	zł 45.—
TARYFA OPŁAT STEMPLOWYCH w oprac. W. Fruchtmana	zł 30.—
USTAWA O PRAWIE AUTORSKIM	zł 20.—

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH.

JAN BRZECHWA

Świadczenia rzeczowe

Rozporządzeniem Ministra Aprowizacji i Handlu Nr 1892 łamane przez 2, łamane przez AS, łamane przez 111, łamane przez Dep. powołano literatów do składania świadczeń rzeczowych.

Ustalone zostały następujące kontyngenty roczne:

albo 5 felietonów
albo 7 artykułów ideologicznych
albo 5 artykułów, popierających rząd
albo 4 artykuły zwalczające reakcję
albo 8 utworów poetyckich
albo 24 hasła o reformie rolnej, o ZWM., o pomocy zimowej, lub o Bos-je
albo 13 notatek o bloku wyborczym
albo 4 deklaracje ideowe
albo 6 uwag krytycznych o PSL.

Stosownie do cytowanego rozporządzenia, kontyngenty literackie mają być złożone do dnia 1 kwietnia 1946 roku.

Dla kobiet ciężarnych, awangardzistów, i wojskowych normy są o połowę niższe.

Literaci, którzy wypełnią swój obowiązek społeczny w 100% otrzymają premie w postaci jednej pelargonii, jednej puszki krwawej kiszki, czyli blutwurstu i jednego biletu wolnego wstępu na pokaz nowego filmu polskiego pt.: „Od Rene Claira do Szancera".

Przy Departamencie Literatury utworzona została baza techniczna, czyli zbiornica, pod kierunkiem ob. Smugosza, opracowano odpowiednie wykazy, rejestry i kartoteki, zamianowano komisarzy wojewódzkich, powiatowych i obwodowych, po czym rozpoczęto pracę.

Związek Literatów rozpisał konkurs na utwór kontyngentowy wyznaczając trzy nagrody: I, II i III na ogólną kwotę złotych 90.000. Na konkurs nadesłano 729 utworów prozą, 431 utworów wierszem i 17 sztuk scenicznych. Sąd konkursowy po zapoznaniu się z całym *materiałem*, nie przyznał ani I ani *II ani* III nagrody, natomiast spośród nadesłanych utworów wyróżnił 15 *i pół*.

Plon konkursu *rozdzielono* pomiędzy rady zakładowe *kilkunastu* fabryk łódzkich. Uroczystość wręczenia odbyła się w podniosłym nastroju, przemówienia wygłosili przedstawiciele przemysłu dziewiarskiego, delegat cechu rymarzy, naczelnik stacji Łódź-Fabryczna i Dziunia Chojnacka. Odpowiadali obecni literaci. Ważyk zapoczątkował dyskusję. Milczał Jastrun, Przyboś, Lau.

Lotne brygady grafomanów dostarczały pisarzom po cenach sztywnych artykuły zastępcze, rymy męskie oraz zdania i okresy pomocnicze.

Komisarze obwodowi upominali telefonicznie opieszałych literatów.

Janusz Minkiewicz, oburzony tym, że imię jego wymówione zostało przez telefon bezpłatnie, napisał felieton do „Szpilek", atakując po raz siedemnasty kinofikację, Padwę, Harrisa, ciotkę - reakcjonistkę oraz 29 innych jeszcze osób i tym samym wypełnił 12% przypadających na niego świadczeń rzeczowych.

Jan Kott napisał do „Przekroju" świetny reportaż z Domu Literatów w Łodzi, zakończony słowami:

„Prozaicy piszą prozą, poeci piszą wierszem. I to jest właśnie marksizm!"

Stefan Żółkiewski napisał pięć artykułów, które po przetłumaczeniu na język zrozumiały przyjęto jako 75% obowiązującego kontyngentu.

Adolf Rudnicki, którego znamionuje niezwykła łatwość pisania, nadesłał dwa tuziny szkiców autobiograficznych wypełniając obowiązek świadczeń rzeczowych za siebie, za Zofię Nałkowską i za ob. Śledzika, rokującego nadzieje.

Stanisław Jerzy Lec dostarczył partię notatników polowych, leśnych i ogrodowych.

Jerzy Wyszomirski przysłał trzy litry wody, stanowiące równowartość 7 felietonów i w ten sposób wypełnił świadczenia w 137%.

Paweł Hertz nadesłał utwory wojskowe, cywilne, męskie, żeńskie i nijakie, w ilości dostatecznej.

Ryszard Dobrowolski opracował 8 wersji swego życiorysu, dla wygłaszania osobno wśród robotników, wśród milicjantów, wśród chłopów, wśród telegrafistów, wśród repatriantów, wśród kominiarzy i wśród mańkutów.

Tą swoją ofiarną pracą nasz znakomity poeta wypełnił obowiązek świadczeń na rok bieżący i dwa lata przyszłe.

Praca w terenie przyniosła również plon nader obfity.

Z poszczególnych powiatów i gmin nadchodzą meldunki, wykazujące głębokie uświadomienie społeczne mas literackich.

Już dziś można stwierdzić, że przodujące miejsce w wyścigu pracy literackiej zajął powiat Tykociński, skąd poeci chłopscy Mizga i Kijas nadesłali ponad pięć kilogramów wierszy, pisanych gwarą kaszubską, góralską i tykocińską.

Znana poetka wiejska i laureatka tygodnika „Wieś", ob. Rudnicka przysłała trzy zbiory Mariana Piechala, nie mówiąc już o zbiorach tegorocznych, które, pomimo braku nawozów sztucznych, zapowiadają się znakomicie w całym powiecie.

Pragnąc ułatwić literatom składanie świadczeń rzeczowych czasopisma „Odrodzenie", „Kuźnica", „Przekrój", „Odra" i inne utworzyły specjalne rubryki w koszach redakcyjnych.

„Tygodnik Powszechny" zbiera głównie przemówienie Ojca Świętego do Niemców prozą i wierszem oraz litanie do św. Tomasza z A. K.-winu.

Napływ materiału literackiego przekroczył najśmielsze oczekiwania. Ministerstwo Prasy i Propagandy zmuszone było podwoić przydziały papieru.

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik" spośród nadesłanych prac literackich zakupiła za gotówkę 321 rękopisów, z których co najmniej 7 nadaje się do druku.

Z chwilą zakończenia akcji składania świadczeń rzeczowych, społeczeństwo zostanie poinformowane o ich wyniku.

Jedno jest pewne: literaci nie zawiodą. Demokracja polska może spokojnie spać, w przeświadczeniu, że na przednówku nikomu spośród mieszkańców wsi i miast nie zabraknie pokarmu duchowego. Głodu nie będzie.

Humor zagraniczny

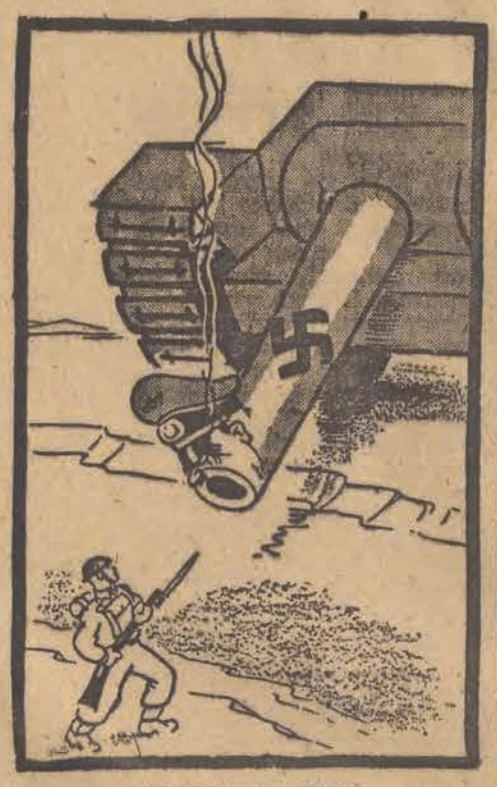

BRITAIN. 1940

JAVA. 1945

„Daily Worker"

PRZEGLĄD PRASY

W nr. 3 (grudniowym) miesięcznika „Nowa Polska", wydawanego pod redakcją Antoniego Słonimskiego w Londynie i grupującego tych pisarzy i publicystów polskich, którzy sprzyjają demokracji polskiej, znajdujemy m. in. artykuł Słonimskiego „Golem". Publicystyczna działalność Słonimskiego zbyt dobrze znana jest w kraju, byśmy w tym miejscu mieli wychwalać jej doskonałą formę. Natomiast dla czytelnika w kraju niezmiernie interesujące będzie zapoznanie się z poglądami Słonimskiego, wyłożonymi we wzmiankowym artykule tym bardziej, że dotyczą one dysproporcji między rozwojem wiedzy i formami organizacji społeczeństwa ludzkiego.

Słonimski reprezentuje scientyzm. Słonimski wierzy, jak wierzył zresztą i przed wojną, że nauka rządzi światem, że może i powinna nim rządzić. Wiemy skądinąd, że scientystyczne teorie, utopia świata rządzonego przez „trust mózgów", przy jednoczesnym nieuwzględnianiu warunków historycznych, przeciwieństw zawartych w układzie stosunków ekonomicznych, i co za tym idzie społecznych, prowadziły w najlepszym wypadku do solidaryzmu, do reformistycznych fikcji, które zamierzano realizować drogą odwołania się do rozumu i dobrej woli klas posiadających. Przedwojenni mistrzowie Słonimskiego, Wells czy Russel, zawiedli. Z tym większą ciekawością czytamy dziś artykuł Słonimskiego w „Nowej Polsce".

„Cywilizacja techniczna — pisze Słonimski— zmieniła warunki bytu na ziemi i stało się jasnym, że człowiek albo się do tych warunków przystosować zdoła, albo zginie". Dalej mowa jest o bombie atomowej, której znaczenie naszym zdaniem Słonimski niewątpliwie przecenia. Pamiętajmy jednak, że artykuł, który czytamy dziś, w lutym 46 roku, był pisany w grudniu 1945 roku. Wydaje się nam, że od grudnia 45 roku do lutego 46 roku bomba atomowa stała się mniej groźna, choćby dlatego, że tajemnica produkcji tej bomby przestała być monopolem jednego tylko mocarstwa.

Słonimski popełnia niewątpliwie błąd, zresztą charakterystyczny dla jego sceptycznego i żarliwego zarazem poglądu na człowieka i sprawy ludzkie, gdy pisze dalej: „Nie wydaje się słusznym twierdzenie, że osiągnąć musimy równomierność w postępie techniki z postępem w dziedzinie wychowania i moralności. Wynalazek ognia przypadł w udziale człowiekowi jaskiniowemu, który z pewnością nie był przygotowany do użycia tej siły, zarówno twórczej jak i niszczycielskiej. Trudno znaleźć kryteria moralności, która by zbiorowości dawała niekontrolowane prawo posługiwania się energią rozkładu atomu". Słonimski popełnia grzech upraszczania z jednej strony, gdyż efektowna sytuacja jaskiniowca, który wynalazł sposób rozniecania ognia, nie jest sytuacją społeczeństw świata, którym rozwój nauki pozwolił na skonstruowanie bomby atomowej, z drugiej zaś strony Słonimski przesuwa ciężar zagadnienia z platformy stosunków ekonomiczno-społecznych na platformę oderwanej moralności. Wiemy oczywiście jaką moralność ma na myśli Słonimski: chodzi tu o moralność „pokolenia ludzi wychowanych na Spencerze i teorii ewolucji". Ale Słonimski dzisiejszy różni się tym właśnie od dawnego Słonimskiego, że przyznaje: „Jakże obraz dzisiejszy daleki jest od marzeń pozytywistów wieku dziewiętnastego, jakże daleki od marzeń mego pokolenia wychowanego na wielkich pisarzach socjalistycznych...". Trudno nam się również zgodzić na dalsze sformułowania Słonimskiego, który szukając wyjścia z własnego głębokiego pesymizmu, znajduje je „w wypowiedziach poetów, filozofów i uczonych". Słonimski odrzuca politykę i ekonomię, wszelkie prawa rozwoju naturalnego społeczeństw i organizacji ich życia gospodarczego, gdy mówi, że tylko „Fantazja i wiedza ludzka stworzyła... świat grozy mechanicznej i tylko ona zdolna jest wywieść nas z domu niewoli technicznej i wskazać drogę do obiecanej ziemi obfitości". Trudno się zgodzić z eschatologicznym widokiem, jaki maluje Słonimski. Wiemy, że wynalazki i zdobycze wiedzy technicznej są uzależnione od działających sił gospodarczych.

„Świat grozy mechanicznej" straci swój apokaliptyczny sens, gdy będziemy na niego patrzeć okiem uzbrojonym w precyzyjne szkła ekonomii i socjologii. Nie możemy się zgodzić dalej na piękne, lecz utopijne zdanie: „Niema już dziś krajów, narodów i klas. Wszyscy jesteśmy równi wobec bogactw tej ziemi i wszyscy zrównani w śmiertelnym niebezpieczeństwie". Rzeczywistość przeczy pierwszemu zdaniu. Rzeczywistość nie zgadza się również z drugim zdaniem.

Słonimski patrzy na społeczeństwa świata jak na jedną całość. Jest zdania, że tylko unifikacja może nas uratować. Zgoda! Ale nie mówi nam ani słowa, jak należy tę unifikację przeprowadzić. Obawiamy się, że bez odwołania się do ekonomii i socjologii unifikacji tej przeprowadzić nie można. Sami poeci, filozofowie i uczeni są tu bezsilni.

Uczeń czarnoksiężnika, który wywołał duchy, nie może ich opanować i nie zna zaklęcia, by zatrzymać ich działalność. Zaklęcia musimy szukać w poezji, filozofii i w nauce. Oto teza Słonimskiego! Dla nas sprawa przedstawia się o wiele prościej. Cywilizacja techniczna formowała się zgodnie z rozwojem sposobów produkcji. Kierował nią dotąd interes nielicznej stosunkowo klasy posiadającej, często wbrew i ze szkodą interesów mas pracujących, poczynając od inteligencji zawodowej na niekwalifikowanym robotniku kończąc. Znamy również słowo zaklęcia, które obróci owe apokaliptyczne siły w posłuszne człowiekowi maszyny. Słonimski, gdy pisze w zakończeniu artykułu, że „Nauka wyzwolona z rąk kapitału i nacjonalizmu stanąć musi do służby Zjednoczonych Mas Pracujących Świata", odnalazł również to słowo. Różnica polega tylko na tym, że znalazł je w dykcjonarzu słów szlachetnych i wzruszających, w którym brak jednak słów na oznaczenie pojęć konkretnych i realnych.

Sądząc, że artykuł Antoniego Słonimskiego zasługuje na jaknajobszerniejsze omówienie, nie wiele już miejsca możemy poświęcić na przegląd innych pozycji wymienionego numeru „Nowej Polski". Pismo to nawiązało obecnie stały kontakt z krajem, czego dowodem są publikacje pisarzy, przebywających w Polsce. W dziale poezji znajdujemy wiersz Czesława Miłosza i trzy wiersze Jarosława Iwaszkiewicza. Ksawery Pruszyński w dowcipnym reportażu „Lot do kraju" opisuje drogę z Londynu do Warszawy, którą odbył przed kilku miesiącami w towarzystwie Słonimskiego i grupy pisarzy angielskich.

Zarówno poemat Bogumiła Andrzejewskiego jak i proza Stefana Themersona wskazują na to, że w emigracyjnym środowisku polskich pisarzy nurtują silne prądy antyrealistyczne. Zapewne środowisko to ulega sugestiom współczesnej literatury angielskiej, w której podobno ożywają surrealistyczne tendencje, znane nam z literatury francuskiej lat dwudziestych.

Obszerny artykuł „Sentencje i refleksje" reasumujący i wyjaśniający istotę przemian, jakie dokonały się w Polsce, publikuje Maria Fiderer. W dziale bibliograficzno-sprawozdawczym znajdujemy przegląd książek i wydawnictw angielskich. Pozycje bibliograficzne są krótko omawiane. Przegląd ten przeznaczony jest przede wszystkim dla czytelników miesięcznika w Polsce i ma za zadanie informowanie nas o angielskich nowościach wydawniczych zarówno z dziedziny nauki, jak i literatury.

Przechodząc do omówienia treści pism krajowych, chcemy przede wszystkim zwrócić uwagę na artykuł Juliana Przybosia, umieszczony w nr. 8 „Odrodzenia". Niewielki ten artykuł, wywołany sprawą plagiatu popełnionego przez pewną poetkę chłopską o „samorodnym talencie", wyjaśnia obiektywnie sytuację t. zw. poezji ludowej. Przyboś nie bez satysfakcji stwierdza, że „samorodna poetyckość... nie wytrzymała próby" (vide artykuł Przybosia na temat pisarstwa ludowego). Przykład Rudnickiej potwierdza niewątpliwie tezy przeciwników oranżeryjnego hodowania prymitywów, z którymi zgodzić się musi każdy, kto nie rozpatruje poezji w oderwaniu od dokonywujących się przemian społecznych. „Folklor zamiera... Nie można w wieku radia tworzyć rezerwatów kultury fujarki i snycerskiego kozika". Przyboś w dalszym ciągu swego artykułu twierdzi, że wieś w obecnych warunkach „od razu bez stopni pośrednich, może dojść do odczuwania i rozumienia prawdziwej sztuki". Odrzucając to wszystko, co czyni się dzisiaj, lansując hasło „upowszechnienia sztuki" jako błędnie pojęte, podawanie wsi namiastek sztuki, Przyboś żąda udostępnienia wsi prawdziwej sztuki, drogą upowszechniania rzeczy naprawdę wartościowych.

Z artykułem Przybosia, omawiającym sprawę poezji chłopskiej na płaszczyźnie socjologicznej, bez stosowanej zazwyczaj przez przeciwników takiego poglądu demagogii, często zaprawianej fałszywym sentymentem, solidaryzujemy się całkowicie.

ph

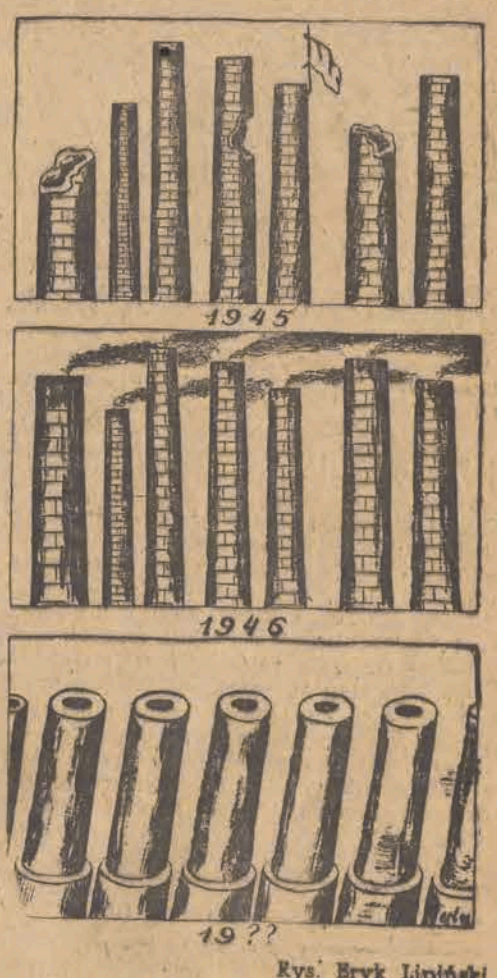

Rys. Eryk Lipiński

Przemysł niemiecki zostaje powoli uruchamiany

NOTY

„SZANUJMY WOLĘ I SUMIENIE"

Sztandarowymi obrońcami praw jednostki, wolności sumienia itd. są dziś zwolennicy hitlerowskich metod. W imię tego poszanowania żąda się uwolnienia hitlerowskich zbrodniarzy, w imię „swobód demokratycznych" bandy Andersa organizują mordy i niszczenie kraju.

Niestety nasz obóz niezadowolonych udziela poparcia tym obrońcom. Wystarczy wypisać hasło „bronimy praw pokrzywdzonej jednostki", aby skupić sporą garść zwolenników, którzy udają nieświadomych o jakie tu jednostki idzie — czy o oskarżonych w procesie norymberskim, czy o schwytanych bandytów z NSZ?

Interesującą przygodę miała ostatnio „Gazeta Ludowa" organ PSL. Wymienione pismo wielkimi literami zaopatrzyło przemówienie Papieża do kardynałów, dając do zrozumienia, że nawet Papież popiera stanowisko PSL.

Zacytujemy przemówienie za „Gazetą Ludową". „Człowiek stanowi bogaty charakter indywidualny. Ma on prawo do szanowania jego woli zgodnej ze swym sumieniem. Dlatego też ludzie nie powinni być repatrjowani wbrew swej woli.

Papież podkreślił również w swej mowie, iż błędem jest sądzić kogoś za przynależność do jakiegoś społeczeństwa bez stwierdzenia jego indywidualnej winy".

Trudno dociec, jak zrozumieli te słowa panowie z „Gazety Ludowej". (Wzięli to być może za aluzję do bloku wyborczego!?) Dla nas dla każdego umiejącego czytać Polaka słowa najwyższego dostojnika kościelnego znaczą jedno: w imię poszanowania „woli i sumienia" jednostki nie wolno sądzić zbrodniarzy niemieckich oraz nie wolno wysiedlać Niemców z polskich odzyskanych obszarów.

Aprobata „Gazety Ludowej" dla przytoczonych słów raz jeszcze przypomina, iż w naszej epoce przy całym poszanowaniu dla praw jednostki ciągle jeszcze na pierwszym miejscu trzeba stawiać obronę narodów i społeczeństw przed bandytyzmem innych narodów, grup, jednostek.

Kwiek

VARIAE SUNT RERUM FIGURAE..

W notach 5 (23) Nr Kuźnicy znajduje się notatka podpisana „mm" zatytułowana: „Jeszcze o pewnym rozporządzeniu". Uwagi zawarte w niej byłyby cenne i słuszne, gdyby ściśle odpowiadały rzeczywistości. Autorowi chodzi w niej o fakt, że na zasadzie Rozporządzenia Ministerstwa Oświaty od uczniów wykazujących niedostateczne postępy w nauce pobiera się co okres trzysta (300) złotych opłaty, które przeznacza się na stypendja dla wybitnie zdolnej, a niezamożnej młodzieży szkolnej.

Jest ogólnie przyjęta zasada między ludźmi uczciwymi, że przed wydaniem sądu w jakiejś sprawie należy zasięgnąć wiadomości nie z jednego tylko źródła. Inaczej bowiem sąd nasz będzie licha wart. W odnośnym wypadku sąd autora wymienionej notatki opiera się widocznie tylko na liście grupy uczniów, drukowanym, być może bezkrytycznie, w „Dzienniku Łódzkim". Autor nie zainteresował się wcale jak ta sprawa przedstawia się od strony rady pedagogicznej, bo gdyby tak było, nie powstałaby owa fałszywa notatka. Żaden z dotychczasowych pedagogów nie sądzi niedorzecznie że sprawa zapłacenia trzystu złotych przez ucznia zmienia radykalnie jego wartość umysłową. Ponadto powodem owych trzystu zł. opłaty nigdy nie jest pojedyńczy stopień niedostateczny, a większa ich ilość. I zanim taka uchwała zapadnie skrupulatnie badane są przyczyny owych niedostatecznych postępów ucznia. Jeśli okaże się, że uczeń pracuje i stara się, a mimo to wykazuje niedostateczne postępy, nikt go owym haraczem nie obarcza. Opłat te nakładane są na uczniów zaniedbujących się w nauce, lekceważących swe obowiązki szkolne. Ponieważ uwagi nauczycieli i niedostateczne oceny w ciągu okresu często nie wywierają pożądanego skutku i nie zwracają uwagi opieki domowej na ucznia i jego postępy, dopiero owa grzywna jest bardziej przekonywującym, bo wybitnie materialnym argumentem. Oczywiście, że większość młodzieży uczy się chętnie i uczciwie, ale obok niej jest wiele takiej, która wychodząc z założenia iż szkoła jest prawie bezpłatna — bo stuzłotowa opłata miesięczna, z której często komitety rodzicielskie zwalniają prawie całkowicie, może nie być brana pod uwagę — lekceważy swe obowiązki. Przypuszczam, że państwo nasze borykające się z tyloma trudnościami nie ma potrzeby troszczyć się o takich nierobów i kara w postaci trzystu złotych opłaty jest dostatecznie umotywowana. Występowanie przeciwko niej może być nazwane tylko apologią lenistwa. Oczywiście, że w dalszym ciągu jak za „dobrych, a jeszcze względnie niedawnych czasów" istnieje dla takich uczniów nieunikniona repetycja materiału w tej samej klasie i, jako etap końcowy, wyselekcjonowanie.

A jeśli autora notatki interesuje, prócz tego, sprawa pieniędzy płaconych przez uczniów tytułem kar — to proszę zajść do dyrekcji którejkolwiek szkoły, gdzie napewno wyczerpująco i rzeczowo poinformują zainteresowanego.

jka

JAJKO KOLUMBA WYOBRAŹNI

Zb w „Odrodzeniu", powołując się na Matisse'a dochodzi do przekonania, że w sztuce „ludzkie jest wszystko, co artysta tworzy".

Ta definicja jest naszym zdaniem zbyt obszerna. „Jakiego człowieka kochamy, z jakim się solidaryzujemy? — zapytuje Julian Przyboś („Odrodzenie" Nr 7). Tego, który robi dzieje, człowieka twórczego, człowieka pracy". Dobrze byłoby, gdyby Zb zastanowił się głębiej nad tą definicją Przybosia. Ale — zdaje się — definicja Ramuza „Obecność ludzka tam nie pośredniczy" jest bliższa Zb. Trudno nam również zrozumieć w jakim celu wygłasza Zb truizmy w rodzaju „Wdzierać się w głąb ludzkiej wrażliwości i nie kopiować najlepszych nawet wzorów. Bo nie chodzi o dostarczenie pewnej ilości utworów czy płócien... lecz o tworzenie nowych doskonalszych form dla nowych wzruszeń. A to jest rzecz jak najbardziej ludzka". To są zupełnie słuszne sformułowania, ale tak powszechnie uznane, że nie wiadomo w jakim celu Zb je powtarza. Jesteśmy tego samego zdania co Zb, uważamy, że kopiowanie nawet tak dobrego poety jak Supervielle — to jeszcze za mało. Sądzimy również, że aby tworzyć nowe doskonalsze formy dla nowych wzruszeń należy zerwać z popularnymi chwytami zarówno byłego „Skamandra" jak byłej „Zwrotnicy", „Zdroju" itd., itd.

mj

POMOC POMOCY NIERÓWNA

„Rzeczpospolita" donosi:

Waszyngton, 21. II. (Obsł. wł.). — Prezydent Truman udzielił pozwolenia na rozpoczęcie akcji pomocy dla Niemców w amerykańskiej strefie okupowanej.

Akcja ma charakter prywatny i obejmuje 10 świeckich i cywilnych organizacji charytatywnych skupionych w „Towarzystwie pomocy dla Niemiec". Towarzystwo ma wysyłać miesięcznie 2000 ton towarów zebranych na drodze dobrowolnych darów wśród Amerykanów.

Podczas, gdy Amerykanie szczególną troską otaczają Niemców, Anglicy interesują się bardzo drzewostanem w naszych lasach, a nawet przysyłają do Polski od czasu do czasu nowych leśników wykwalifikowanych. Akcja ta ma podobno charakter nie tylko prywatny i obejmuje organizacje zbrojne skupione w „Towarzystwie pomocy dla lasów Anders i S-ka".

m j

ZAMIAST KWIATÓW... NA TRUMNĘ

Z okazji pierwszej rocznicy przeniesienia się „Odrodzenia" do Krakowa, Zbigniew Bieńkowski w artykule „Zamiast kwiatów" („Odrodzenie" Nr 6) opowiada, jak to rok temu w Hotelu Francuskim rywalizowali wzajemnie pisarze w wynajdywaniu rzeczy nadających się do jedzenia. Mniejsza o to, każdy wspomina, co go najżywiej obeszło.

Ale w artykule Bieńkowskiego znajdujemy dwie grubsze nieprzyzwoitości. Jedna z nich to obraz przeganiających się wzajemnie pisarzy z wystylizowanymi deklaracjami ideowymi dla „Odrodzenia". Możliwe, że znaleźli się i tacy, którzy gonili do Bieńkowskiego; dobry przykład obowiązuje, prześcignął ich o całe trzy tygodnie. Obraz zresztą jest bardzo dowcipny, tylko... że niedawno w Przeglądzie Prasy w „Odrodzeniu" pisał ktoś o potrzebie budzenia szacunku dla pisarza.

A druga nieprzyzwoitość jest pod adresem Stanisława Dygata. Pisze o nim Bieńkowski: „...darowaliśmy mu natarczywość, z jaką domagał się natychmiastowego wtajemniczenia w doktrynę komunizmu". I nieco dalej: „Stanisław Dygat pozostał nam wierny i jest dalej niemniej natarczywy co do tego komunizmu jak na początku. Ale on jest wyjątkowo idealistycznym materjalistą".

Nie wiem, może jest jakiś wyższy cel, aby współpracowników „Odrodzenia" (o ile pamiętam Stanisław Dygat drukował niedawno w tym piśmie) przedstawiać czytelnikom jako durniów i głupców. A może subtelny Zbigniew Bieńkowski tym razem dał się nabrać i nie zrozumiał po prostu żartu. Bardzo chcielibyśmy wiedzieć, kto tu z kogo struga wariata?

Kronikarz „Odrodzenia" zdecydowanie przestał być nudny. Bardzo udatnie rywalizuje z „Kocyndrem". Ale wątpimy, czy na tym dobrze wyjdzie.

rdc

REALIZM I MITOLOGIE

Podkreślaliśmy wielokroć, że przemiany, zachodzące w Polsce i w innych krajach, muszą wcześniej czy później znaleźć odbicie w prozie, w poezji, w krytyce i w stosunku nowego czytelnika do literatury pięknej. Wojna zbyt silnie wstrząsnęła światem wartości i zbyt brutalnie ukazała kulisy olbrzymiego dramatu, abyśmy dzisiaj mogli kontynuować sądy i oceny sprzed 1939 roku. Zmieniła się także nasza wrażliwość, wstrząsowi uległy dotychczasowe kryteria moralne i estetyczne. Rewizjonizm w dzisiejszej sytuacji nie jest jakąś przemijającą modą, lecz wypływa z warunków obiektywnych, jest ich konsekwencją. Krytyka u nas nigdy nie odznaczała się zbytnią czujnością. Działo się to z wielką szkodą dla rozwoju naszej literatury, której zacofanie w stosunku do literatury zagranicznej wciąż jeszcze jest faktem. Podczas gdy w poważnych tygodnikach i miesięcznikach literackich wciąż jeszcze rozprawia się o sztuce w terminologii przedwojennej, formalistycznej, estetycznej, idealistycznej, która jakże żywo przypomina system ocen „Pionu", „Wiadomości Literackich", a nawet „Prosto z mostu", żywa, postępowa, współczesna książka Jana Kotta „Realizm i mitologie" czeka od wielu miesięcy w drukarni „Czytelnika" na światło dzienne, czeka, jak dotąd daremnie. Uważamy, że dzieje się to ze szkodą dla rozwoju życia literackiego w Polsce.

rkm

7 LAT TEMU, GDY RODZIŁA SIĘ WOJNA...

Chociaż tylko o tej dacie i o żadnej innej pisać będą podręczniki historyczne dla przyszłych pokoleń, przecież nie pierwszego września zaczęła się wojna. Poczęta jeszcze w Wersalu tliła i wybuchała, to marszem na Rzym, to abisyńskim podbojem, to podpaleniem Reichstagu, to powstaniem hiszpańskim przypominając o swym istnieniu. I wreszcie w Marcu, piętnastego, przecięto słabą pępowinę monachijską i wojska niemieckie wkroczyły do Pragi. Na Hradczynie zawisła flaga ze swastyką. Stała się wojna. Pierwszego września spotężniała tylko w rzeź.

Gdzieś, między wielkimi depeszami, kogo przyjął Duce i co powiedział Fuehrer, gdzieś między bielą konfiskat i reportażami z rozgorączkowanych stolic Europy drukowano petitowe wiadomości PAT-a. Właśnie na rynek egipski rzucono arabskie wydanie „Mein Kampf" po 3 piastry za egzemplarz, właśnie mianowano szefem działu poruczeń specjalnych w sztabie Himmlera wiedeńskiego gauleitera, Globocnika, właśnie jeździli zdenerwowani dziennikarze po stolicach Europy, zapytując panów X i Y co sądzą i czy wierzą. Ale że Mussolini i Hitler nie wierzyli, więc z ulgą oddychał monachijski świat.

W tym czasie, gdy rodziła się już wojna w gabinetach ministrów, w Polsce usuwano żydowskich lekarzy nostryfikantów ze szpitali (jakże brak było lekarza we wrześniu!), a Falanga (tak, tak, panie Piasecki!) święciła rocznicę śmierci Codreanu. W tym czasie w Polsce OZON projektował podział obywateli na cztery kategorie (jak szybko uciekała we wrześniu ta pierwsza!), a Stronnictwo Pracy (znacie je, panowie z Ikapa?) wysuwało projekty nazywania ulic miast polskich imieniem Dmowskiego. Bo właśnie 2 stycznia zmarł Dmowski. Przypominam to wam, obywatele z „Tygodnika Warszawskiego", boście zapomnieli go w tę rocznicę glorytikować. Przypominam wam czas jego zgonu, kiedy Hitler obiecywał pokój.

Czy naprawdę sanacja winna była naszej klęsce wrześniowej?

Gdy wojska hitlerowskie wkraczały w czeską ziemię, pan Prezydent Rzeczypospolitej wysłał depeszę gratulacyjną do księdza Tiso i do regenta Węgier, a na granicy karpackiej ustawiono biało-czerwone transparenty z orłami: „Serdecznie witamy na historycznej granicy!" I tak wydano na siebie wyrok.

W Polsce absorbowała wówczas opinię publiczną sprawa Rotholca, który wygrał dla nas mistrzostwo Europy na ringu, ale przegrał z sędziami PZB w Poznaniu. W Polsce rząd był oburzony, że na Politechnice gdańskiej usuwano polskich studentów, ale wcale nie dostrzegał, że w tym samym czasie młodzież akademicka we Lwowie po powrocie ze ślubowań jasnogórskich przechodziła z uśmiechem obok rozlanej przez siebie krwi żydowskich studentów. Potem miały nastąpić napady i na polskie organizacje studenckie: ludowe i robotnicze. Prof. Bartel był sam i nie wiele mógł zdziałać. A panowie z „Dziś i Jutro" upajali się owym „dziś", a nie dostrzegali jutra.

Czy sanacja była winna?

Na południu zyskaliśmy właśnie granice z wrogiem, za dni kilka miała paść Kłajpeda, ale sejm roztrząsał sprawę uboju rytualnego. Zarzynał Polskę. Wtedy właśnie gen. Zeligowski złożył w sejmie następujący wniosek:

„Dwa bratnie narody słowiańskie, czeski i słowacki, utraciły swój byt niepodległy.

Sytuacja polityczna państwa polskiego stała się niebezpieczna. Wobec tego wnoszę o przerwanie dzisiejszego porządku dziennego i wezwanie pana premiera do oświadczenia, co zamierza przedsięwziąć dla natychmiastowego spotęgowania sił moralnych i materialnych ojczyzny".

Marszałek sejmu Makowski spytał wówczas: „Kto jest za wnioskiem, zechce wstać". Wstała mniejszość. Byli to posłowie socjalistyczni. Powrócono do uboju. Zza Karpat i zza Odry, z Prus Wschodnich i z Bałtyku szykowała się Polsce rzeź.

A pan prezydent ministrów powiedział wówczas: „I owszem". Pan prezydent ministrów myślał o bojkocie, ale Hitler zrozumiał, że to nadchodzi czas. Na zasługą pana premiera świeżo wymalowanych płotach miały się wkrótce ukazać hitlerowskie plakaty. Zasługą pana premiera.

Minister Beck zdumiony zmianą sytuacji wyjękiwał słowa o potędze i wielkości, snuł Rydz swoje generalskie plany, z których miał wyjść guzik, a ci co przed rokiem na placu Saskim krzyczeli gromko „na Kłajpedę", ze zdumieniem patrzeli na Memel. Szykowało się większe niż w Białowieży polowanie.

Padł Madryt.

Po raz pierwszy zwróciła się Wielka Brytania do ZSRR, by przystąpił do paktu mocarstw.

mm

Korespondencja

Do Redaktora „Kuźnicy"

Ulegając pedantyczności (przykrej manii dla bliźnich, a zatruwającej życie owładniętemu nią osobnikowi) nie mogę pominąć paru drobnostek, które przez lupę można wykryć we wspaniałych poza tym pod każdym względem ostatnich numerach „Kuźnicy". Tak w Przeglądzie Prasy w słusznie pochlebnej wzmiance o świetnej noweli Iwaszkiewicza w „Twórczości", „Bitwa na równinie Sedgamoor" znajdujemy powtórzenie najbardziej wątpliwego zdania ze wstępu do niej. W tym jednym zdaniu: „na równinie Sedgamoor rozegrała się ostatnia bitwa na wyspie brytyjskiej, a... Monmouth został ostatnim w historii napastnikiem, którego Anglicy... odpierali na swojej ziemi", zawarte są co najmniej dwie nieścisłości. Monmouth nie był „napastnikiem", lecz równorzędnym partnerem w wojnie domowej, jednej z tych, które w ciągu wieku całego rozdzierały naród angielski na jego własnej ziemi. Powstanie nieślubnego syna Karola II przeciw Jakubowi II było w szeregu tych wojen epizodem stosunkowo niewielkiej wagi, a na pewno nie ostatnim chronologicznie, skoro, pomijając wojny w Irlandii i drobniejsze wybuchy, sześćdziesiąt lat później wylądowuje w Szkocji Król Edward Stuart (którego mimo to nie można nazwać „napastnikiem" z zewnątrz) i rozpoczyna trwającą blisko rok wojnę, która istotnie zachwiała na chwilę tronem dynastii hannowerskiej. Pretendent dotarł aż do Derby, więc do dzisiejszego niejako pola wyścigowego Londynu, w każdym razie o kilka dni marszu do stolicy. Dopiero klęska jego na polach Culloden, której dwuchsetna rocznica przypada właśnie za kilka tygodni, była ostatnią bitwą stoczoną na wyspie wielkobrytyjskiej.

Innego rodzaju drobnostki są do podniesienia tu i ówdzie ze wzmiankowanych numerów. Jeśli już uważa się, wypowiedź Borysa Pasternaka o Verlain'ie za istotnie wartościową, mimo, że nie znać na niej śladów lektury rewelacyjnej książki Fr. Porche'go, to jednak należałoby sprawdzić pisownię nazw, napotykanych w transkrypcji rosyjskiej. Nie znam miejscowości „Monce" w Belgii, natomiast karę więzienia Verlaine odbył w Mons, „nie bardzo podłym mieście". W innym artykule, tłumaczonym z rosyjskiego, znajdujemy Anglika o imieniu „Perssy" — zwykle ortografowanym Percy. Jeśli chodzi o tłumaczenie z rosyjskiego, zgodnie z „nową ortografią" polską, którą się narzuca także jej przeciwnikom, obowiązuje też pewien system transkrypcji słów rosyjskich, nie uwzględniający i bardzo słusznie z wielu powodów „akanja", charakteryzującego liczne narzecza (ale nie wszystkie i nie w jednakowy sposób) języka rosyjskiego. Oddawania w transkrypcji polskiej „akanja" wyrzekli się ci wszyscy, którzy w ciągu ostatnich dziesięcioleci robili próby w tym kierunku (m. in. Tuwim, a także kiedyś niżej podpisany), istotnie jak tu zastąpić w czterech wypadkach literę „o" przez „a" w słowie „osnowopołożnik", kiedy w każdym wypadku ma ono inne bardzo trudne do ujęcia brzmienie. Więc też pisownia „Patiebnia" itp. nie powinna być dopuszczana.

K. W. Zawodziński

CENY OGŁOSZEŃ: 1 kolumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000; Drobne ogłoszenia 25 zł 1 mm na 1 szpaltę.

Redaguje Zespół „Kuźnicy". Redaktor Naczelny: Stefan Żółkiewski. Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i sobo[illegible] godz. 11 do 13.

Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel. 205-42.

D—02800

Wydawca Zespół „Kuźnicy". — Drukarnia Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik" Nr. 4, ul. Żwirki 2.